płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—30.IV.1988 | 8

Fot. Marek Żeńca

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Mam zamiar pobić rekord świata w skoku wzwyż!

— Ciekawy jestem, czy to jest zgodne z przepisami?

Magia liczb!

A TO CIEKAWE!

ZIMĄ, kiedy nasze misie zapadają w sen zimowy, niedźwiedzie polarne są pełne życia, a wśród śniegu i lodów radzą sobie doskonale. Natomiast wiele niedźwiedzi polarnych spędza polarne lato w stanie odrętwienia. Przesypiają one kilka ciepłych tygodni w wykopanych przez siebie jamach. W tym czasie nic nie jedzą, wykorzystują zapasy tłuszczu nagromadzonego pod skórą w czasie zimy.

●

LUDZIE żyją w niektórych krajach coraz dłużej. W latach sześćdziesiątych naszego wieku liczba osób powyżej 65 roku życia wynosiła 300 mln. Około roku 2000, jak wskazują obliczenia, na całym świecie będzie prawie miliard staruszków. Po raz pierwszy w historii ludzkości będzie tak dużo ludzi w wieku poprodukcyjnym — prawie co piąta osoba.

W porównaniu z naszymi prapradziadami jesteśmy wręcz długowieczni. W starożytnej Grecji przeciętny czas ludzkiego życia wynosił 20 lat, dawni Rzymianie dożywali 22 lat, w carskiej Rosji średni wiek człowieka sięgał 32 lat. Natomiast obecnie średni czas życia ludzi wydłużył się przeszło dwukrotnie i wynosi od 60 do 70 lat, w zależności od kraju.

DRZEWA w miastach często chorują i usychają. Spaliny i dymy fabryczne, a zimą mrozy niszczą miejską roślinność. Dlatego stosuje się różne środki, aby je ochronić. Np. w Tokio w zimie młode drzewka otula się folią. W niektórych miastach w RFN drzewa rosną w ogromnych donicach i co dwa lata wywozi się je na wieś, aby odetchnęły świeżym, wiejskim powietrzem. Potem przywozi się je z powrotem na ulice miast.

●

TERMOMETR lekarski jest urządzeniem bardzo prostym i każdy je zna, kto chociaż raz miał mierzoną gorączkę. Po paru minutach trzymania termometru pod pachą temperaturę odczytuje się na skali widocznej obok słupka rtęci.

W Japonii używane są termometry, które mierzą temperaturę ciała w ciągu 2 minut. Można ją odczytać z cyfr, które wyskakują jak w elektronicznym zegarku.

●

NAJWIĘKSZĄ na świecie maszynę do pisania zbudowano przed 70 laty do celów reklamowych jednego z banków w Stanach Zjednoczonych. Miała ona 5 metrów wysokości i 7 m szerokości. Litery na klawiszach maszyny miały 31 cm wysokości.

Nasza okładka:

Kocham cyrk!

Pod kopułą cyrku
reflektory gwiazd —
dziwne przedstawienie
w senny, nocny czas.
Na arenie
księżyc złoty
robi salta
i przewroty.
Na trapezach
i na linie
wiatr cichutko
tańczy, płynie...
Mrok z podziwem
z kątów zerka,
a Noc — czarna woltyżerka —
klaszcze w małe,
miękkie dłonie:
— Kończcie sztuki! — woła.
— Koniec!
Gaście
reflektory złote!
Już świt stoi
przed namiotem!

Dorota Gellner

Rys. Jerzy Flisak

KASZTANKA

(Ciąg dalszy z nru 7)

Postacie występujące w opowiadaniu:
pies — Kasztanka, zwany też Ciotką
gąsior — Iwan Iwanycz
kot — Teodor Timofieicz
świnka — Chawronia Iwanowna
syn stolarza — Teodorek
gospodarz — Tajemniczy Nieznajomy, zwany też Mr. George
gospodyni — Maria

Talent! Talent!

Upłynął miesiąc.

Kasztanka już przyzwyczaiła się do tego, że każdego wieczora dostawała smaczne jedzenie i że nazywano ją Ciotką. Przyzwyczaiła się i do nieznajomego, i do nowych współlokatorów. Życie mijało spokojnie i pogodnie.

Wszystkie dni zaczynały się jednakowo. Zazwyczaj pierwszy budził się Iwan Iwanycz. Natychmiast podchodził do Ciotki lub do kota i, wyginając szyję, zaczynał mówić z zapalczywością, z chęcią przekonania słuchacza, lecz tak samo, jak dawniej wciąż niezrozumiale. Niekiedy podnosił głowę do góry i wygłaszał długie monologi. Na początku znajomości Kasztanka myślała, że dlatego tak dużo mówił, iż jest bardzo mądry, ale w niedługim czasie straciła dla niego wszelki szacunek; kiedy gąsior podchodził do niej ze swą długą przemową, już nie machała ogonem, ale traktowała go jak dokuczliwego gadułę, który wszystkim przeszkadza spać, i bez najmniejszej ceremonii odpowiadała mu „wrrr"...

Natomiast Teodor Timofieicz był jegomościem innego rodzaju. Ten, gdy się budził, nie wydawał żadnego głosu, nie ruszał się i nawet nie otwierał oczu. Budził się niechętnie, gdyż, jak można było zauważyć, życie nie bardzo mu się podobało. Nic go nie ciekawiło, do wszystkiego odnosił się apatycznie i opieszale, wszystkim pogardzał, a nawet podczas jedzenia smacznego obiadu parsknął z obrzydzeniem...

Kasztanka, gdy tylko się obudziła, zaczynała chodzić po pokojach i obwąchiwać kąty. Tylko jej i kotu pozwalano chodzić po całym mieszkaniu, natomiast gąsior nie miał prawa wychodzić poza próg pokoiku z brudnymi tapetami. Chawronia Iwanowna zaś mieszkała gdzieś w podwórzu w chlewiku i zjawiała się tylko w czasie lekcji. Gospodarz budził się późno i, napiwszy się herbaty, od razu zabierał się do swoich sztuczek. Codziennie wnoszono do pokoiku huśtawkę, bicz, obręcze i prawie codziennie powtarzało się jedno i to samo. Nauka ciągnęła się trzy, cztery godziny, tak że niekiedy Teodor Timofieicz ze zmęczenia zataczał się jak pijany, Iwan Iwanycz otwierał dziób i ciężko oddychał, gospodarz zaś stawał się czerwony i w żaden sposób nie mógł zetrzeć potu z czoła.

Nauka i obiad przyczyniały się do tego, że dzień był bardzo ciekawy, natomiast wieczory były nudne. Zazwyczaj wieczorami gospodarz odjeżdżał dokądś i zabierał ze sobą gąsiora oraz kota. Ciotka kładła się na materacyku i zaczynała tęsknić... Tęsknota podkradała się do niej tak jakoś niepostrzeżenie i brała ją w swe władanie stopniowo, tak jak mrok ogarniał pokoik. Rozpoczynało się od tego, że Kasztanka traciła wszelką chęć do szczekania, jedzenia, biegania po pokojach, a nawet patrzenia; potem w jej wyobraźni zjawiały się dwie figury — ni to psy, ni to ludzie — z sympatycznymi, miłymi, lecz niezrozumiałymi fizjonomiami; gdy się zjawiały, Ciotka machała ogonem i wydawało się jej, że już je gdzieś widziała i lubiła... A kiedy zasypiała, czuła, że figury te pachną klejem, wiórkami oraz politurą.

Kiedy już całkiem przyzwyczaiła się do nowego otoczenia i z chudego oraz kościstego kundla przemieniła się w sytego, wypielęgnowanego psa, gospodarz pewnego dnia pogłaskał ją przed nauką i powiedział:

— Czas nam, Ciotko, czymś się zająć. Dość już zbijania bąków. Chcę zrobić z ciebie artystkę... Chcesz być artystką?

I zaczął uczyć ją różnych rzeczy. W czasie pierwszej lekcji nauczyła się stać i chodzić na tylnych łapach, co ogromnie jej się podobało. Na drugiej lekcji już podskakiwała na tylnych łapach i chwytała cukier, który nauczyciel trzymał nad jej głową. Po czym na następnych lekcjach tańczyła, biegała po lince, wyła przy akompaniamencie muzyki, dzwoniła i strzelała, po miesiącu zaś z powodzeniem mogła zastępować Teodora Timofieicza w „piramidzie egipskiej". Uczyła się bardzo chętnie

i była zadowolona ze swoich postępów; bieganie z wysuniętym językiem na lince, skakanie przez obręcze oraz jeżdżenie wierzchem na starym Teodorze Timofieiczu sprawiało jej największą przyjemność. Każdej udanej sztuczce towarzyszyło dźwięczne, entuzjastyczne szczekanie, nauczyciel zaś dziwił się, wpadał w zachwyt i zacierał ręce.

— Talent! Talent! — mówił. — Niewątpliwy talent! Stanowczo będziesz miała powodzenie!

I Ciotka tak przyzwyczaiła się do słowa „talent", że za każdym razem, kiedy gospodarz je wymawiał, podskakiwała i rozglądała się wokoło, jakby to była jej nazwa.

Niespokojna noc

Ciotce przyśnił się psi sen, jakoby uganiał się za nią dozorca domu z miotłą, aż się zbudziła ze strachu.

W pokoju było ciemno, cicho i bardzo duszno. Cięły pchły. Dawniej Ciotka nigdy nie bała się ciemności, lecz teraz — nie wiadomo dlaczego — ogarnął ją strach i zachciało się jej szczekać. W sąsiednim pokoju głośno westchnął gospodarz, po pewnym czasie w swoim chlewiku chrząknęła świnia i znowu zapadło milczenie. Kiedy się myśli o jedzeniu, to na sercu od razu robi się lekko, wobec tego Ciotka zaczęła myśleć o tym, jak to dzisiejszego dnia ukradła Teodorowi Timofieiczowi kurzą łapkę i schowała w gościnnym pokoju za szafą, gdzie było bardzo dużo pajęczyny i kurzu. Nie zaszkodziłoby pójść teraz i popatrzeć, czy łapka ta jest jeszcze cała, czy też nie. Bardzo możliwe, że gospodarz znalazł ją i zjadł. Ale przed ranem nie wolno wychodzić z pokoiku — takie jest prawo. Ciotka zamknęła oczy, by prędzej zasnąć, gdyż z doświadczenia wiedziała, że im prędzej się zaśnie, tym prędzej przyjdzie ranek. Nagle w pobliżu niej rozległ się straszny krzyk, który sprawił, że po jej ciele przebiegły dreszcze i poderwały ją na wszystkie cztery łapy. To krzyknął Iwan Iwanycz, a głos jego tym razem nie był gadaniem usiłującym przekonać słuchacza, tak jak zwykle, lecz wydawał się jakiś dziki, przejmujący, niezwykły, podobny do skrzypienia otwieranej bramy. Nic nie widząc w ciemności i nic nie rozumiejąc, Ciotka poczuła jeszcze większy strach i warknęła:

— Wrrr...

Minął jakiś czas, tyle, ile trzeba, by ogryźć kość. Krzyk się nie powtórzył. Ciotka powoli uspokoiła się i zdrzemnęła. Przyśniły się jej dwa wielkie czarne psy z kłakami zeszłorocznej sierści na biodrach i bokach; z wielkiego szaflika chciwie chłeptały pomyje, z których unosiła się biała para oraz bardzo apetyczny zapach; niekiedy spoglądały na Ciotkę, wyszczerzały zęby i warczały: „A tobie nie damy". Ale z domu wybiegł chłop w kożuchu i przegnał je batem; wówczas Ciotka podeszła do szaflika i zaczęła jeść, lecz gdy tylko chłop wyszedł za wrota, oba czarne psy z warczeniem rzuciły się na nią i nagle znowu rozległ się przejmujący krzyk:

— K-he! K-he-he! — krzyknął Iwan Iwanycz.

Ciotka ocknęła się, zerwała się na nogi, i, nie schodząc z materacyka, zachłysnęła się zawodzącym szczekaniem. Wydało się jej, że to krzyczy nie Iwan Iwanycz, lecz ktoś inny, obcy. I — nie wiadomo dlaczego — w chlewiku znowu chrząknęła świnia.

Lecz oto rozległo się szurganie pantofli i do pokoju wszedł gospodarz w szlafroku i ze świecą w ręku.

Migocące światło przebiegało po brudnych tapetach oraz suficie rozpraszając ciemności. Ciotka przekonała się, że w pokoju nie ma nikogo obcego. Iwan Iwanycz siedział na podłodze, lecz nie spał. Skrzydła miał rozpostarte, a dziób otwarty i w ogóle wyglądał tak, jakby był bardzo zmęczony i chciał pić. Stary Teodor Timofieicz również nie spał. Widocznie i jego obudził krzyk.

— Iwanie Iwanyczu, co ci jest? — spytał gospodarz gąsiora. — Czemu krzyczysz? Czy jesteś chory?

Gąsior milczał. Gospodarz dotknął jego szyi, pogłaskał po grzbiecie i powiedział:

— Ty, dziwaku! Sam nie śpisz i innym spać nie dajesz.

Kiedy gospodarz wyszedł zabierając ze sobą światło, znowu zrobiło się ciemno. Ciotkę ogarnął strach. Gąsior nie krzyczał, lecz Ciotce zaczęło się znów majaczyć, że w ciemności stoi ktoś obcy. Najokropniejsze było to, że tego obcego nie można było ugryźć, gdyż był niewidoczny i nie posiadał kształtów. Nie wiadomo dlaczego Kasztanka wciąż myślała, że tej nocy na pewno stanie się coś złego. Teodor Timofieicz również był niespokojny. Ciotka słyszała, jak kręcił się na swoim materacyku, ziewał i potrząsał głową.

Gdzieś na ulicy stuknęła bramą i w chlewiku chrząknęła świnia. Ciotka zaskomliła, wyciągnęła przednie łapy i położyła na nich głowę. W stuknięciu bramy, w chrząknięciu świni, która nie wiadomo czemu nie spała, w ciemności i ciszy majaczyło się jej coś tak samo smutnego i strasznego, jak w krzyku Iwana Iwanycza. We wszystkim była trwoga i niepokój, ale dlaczego? Kto to jest ten obcy, którego nie widać? Oto obok Ciotki przez moment zaświeciły dwie przymglone iskierki. To po raz pierwszy od czasu ich znajomości podszedł do niej Teodor Timofieicz. Czego

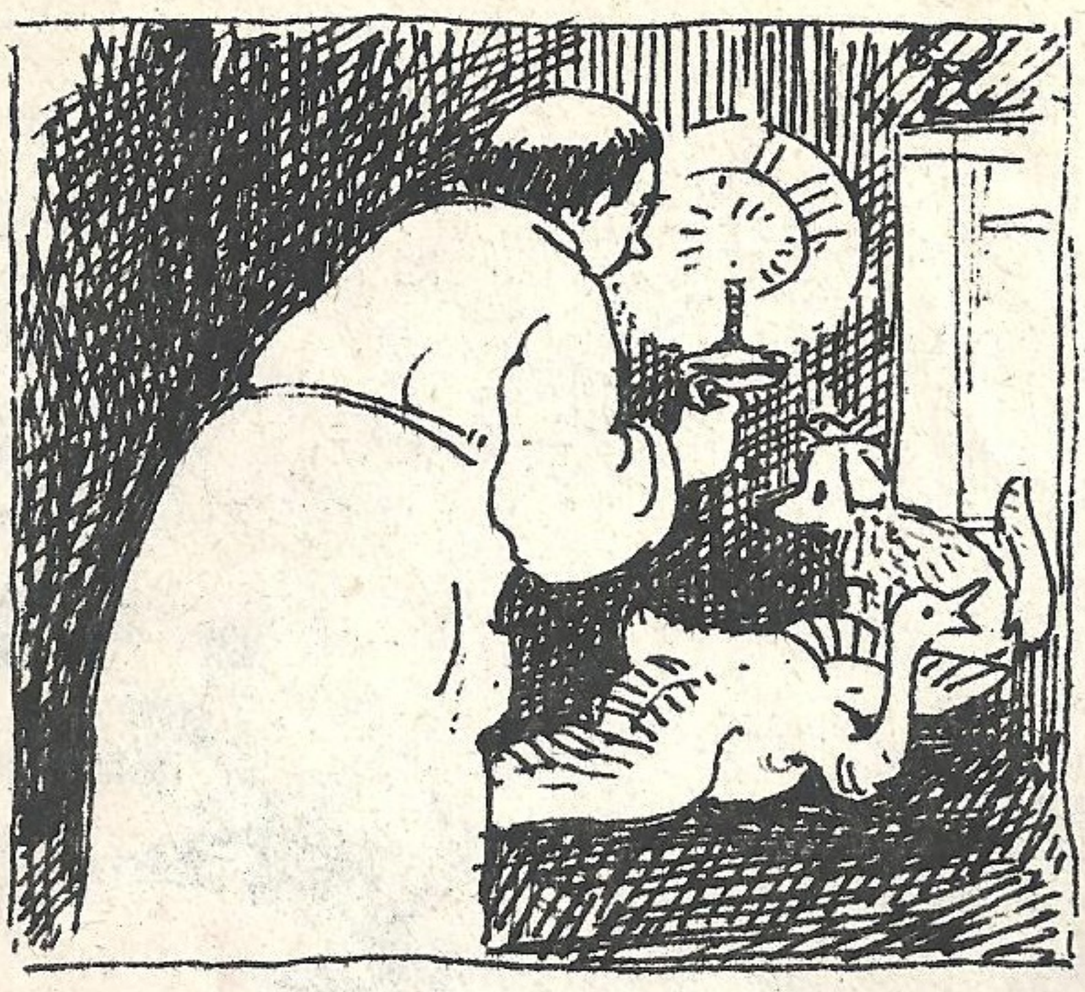

mu było potrzeba? Ciotka liznęła jego łapę i, nie pytając, po co przyszedł, zawyła cicho na różne tony.

— K-he! — krzyknął Iwan Iwanycz. — K-he-he!

Znowu uchyliły się drzwi i wszedł gospodarz ze świecą. Gąsior siedział w poprzedniej pozycji, z otwartym dziobem i rozpostartymi skrzydłami. Oczy miał zamknięte.

— Iwanie Iwanyczu! — zawołał gospodarz.

Gąsior nie ruszył się. Gospodarz usiadł przed nim na podłodze, chwilę patrzył na niego w milczeniu, po czym powiedział:

— Iwanie Iwanyczu! Cóż to ma znaczyć? Umierasz, czy co? Ach, przypominam sobie, przypominam! — krzyknął chwytając się za głowę. — Wiem już dlaczego! To dlatego, że dziś nadepnął na ciebie koń! Boże mój, Boże mój!

Ciotka nie rozumiała, o czym mówił gospodarz, ale po jego minie poznała, że i on czeka na coś strasznego. Wyciągnęła pyszczek w stronę ciemnego okna, do którego, jak jej się zdawało, zaglądał ktoś obcy, i zawyła.

— On umiera, Ciotko! — powiedział gospodarz i załamał ręce. — Ależ tak, tak, umiera! Do waszego pokoju weszła śmierć. Co robić?

Blady, przerażony gospodarz, wzdychając i kiwając głową, wrócił do swej sypialni. Ciotce było nieprzyjemnie pozostawać w ciemności, więc poszła za nim. Gospodarz usiadł na łóżku i kilka razy powtórzył:

— Mój Boże, co robić?

Ciotka kręciła się koło jego nóg. Nie rozumiała, dlaczego jest jej tak smutno i dlaczego wszyscy się tak niepokoją, i usiłując to zrozumieć śledziła każdy jego ruch. Teodor Timofieicz, który rzadko opuszczał swój materacyk, również wszedł do sypialni gospodarza i ocierał się o jego nogi. Potrząsnął głową, jakby chciał wytrząsnąć z niej niedobre myśli, i podejrzliwie zaglądał pod łóżko.

Gospodarz wziął spodeczek, nalał do niego wody z dzbanka i znowu podszedł do gąsiora.

— Napij się, Iwanie Iwanyczu — powiedział tkliwie, stawiając przy nim spodeczek. — Napij się, kochany.

Ale Iwan Iwanycz nie ruszał się i nie otwierał oczu. Gospodarz przygiął jego głowę do spodka i dziób wetknął do wody, lecz gąsior nie pił, jeszcze szerzej rozpostarł skrzydła i głowa jego pozostała na spodku.

— Nic, nic nie da się już zrobić! — westchnął gospodarz. — Wszystko skończone. Zginął Iwan Iwanycz.

I po jego policzkach stoczyły się błyszczące kropelki, tak jak to bywa na oknach w czasie deszczu. Nie rozumiejąc, o co chodzi, Ciotka i Teodor Timofieicz tulili się do niego i z przerażeniem patrzyli na gąsiora.

— Biedny Iwan Iwanycz! — mówił gospodarz, smutno wzdychając. — A ja myślałem, że wiosną zawiozę cię na letnisko i będziemy spacerowali sobie po zielonej trawce. Kochane stworzenie, dobry mój towarzyszu! Już ciebie nie ma! Jakżeż poradzę sobie bez ciebie?

Ciotce wydawało się, że i z nią stanie się to samo, to jest, że i ona również nie wiadomo dlaczego zamknie oczy, wyciągnie łapy, wyszczerzy zęby i że wszyscy będą patrzeć na nią z przerażeniem. Widocznie takie same myśli tłukły się w głowie Teodora Timofieicza. Stary kot jeszcze nigdy nie był tak ponury i mroczny, jak w tej chwili.

Zaczynało świtać i w pokoiku już nie było tego niewidocznego obcego, który tak straszył Ciotkę. Kiedy rozwidniło się zupełnie, przyszedł dozorca, wziął gąsiora za łapy i wyniósł nie wiadomo dokąd. W jakiś czas potem przyszła stara kobieta i zabrała korytko.

Ciotka poszła do gościnnego pokoju i zajrzała za szafę: kot nie zjadł kurzej łapki, leżała na swoim miejscu w kurzu i pajęczynie. Ale Ciotce było tęskno, smutno i chciało się jej płakać. Nawet nie powąchała łapki, lecz wlazła pod kanapę, usiadła tam i zaczęła skomleć cieniutkim głosikiem:

— Uhm-uhm-uhm...

(Dokończenie na str. 12)

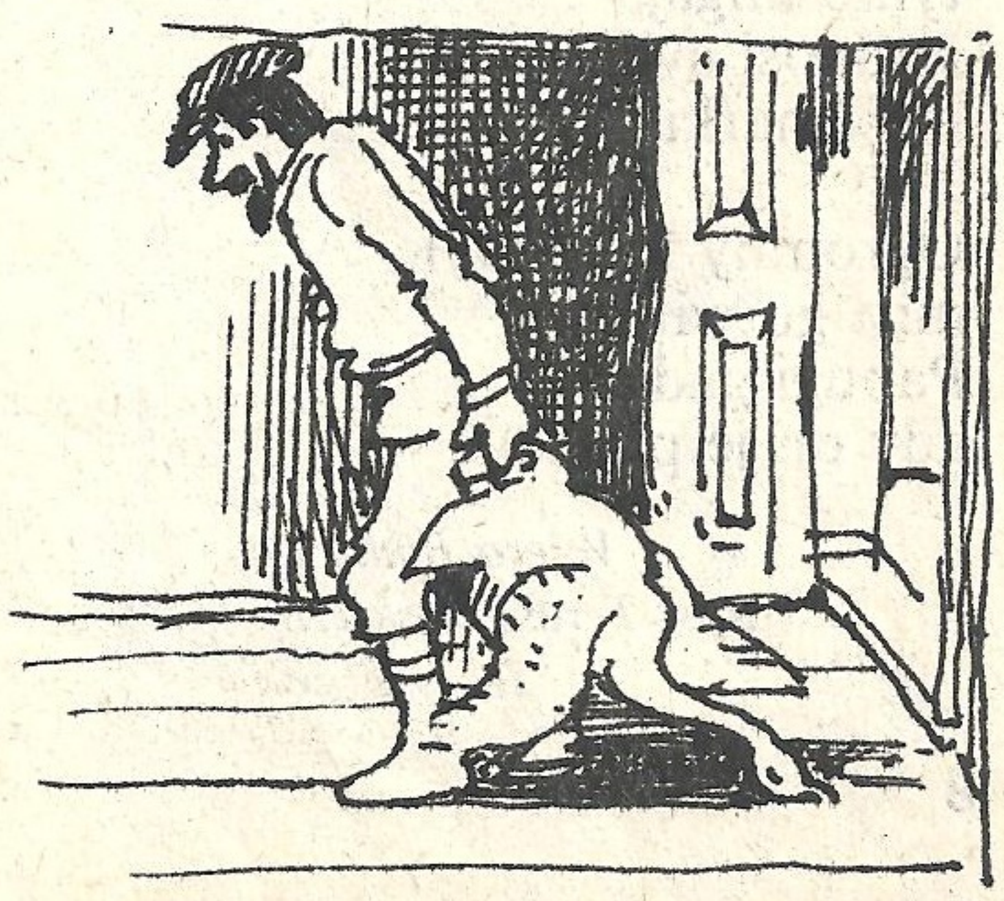

WYPADEK W CYRKU

Lew szedł przez arenę
z bardzo dumną miną,
potknął się o pchełkę
i kozła wywinął.

Tadeusz Fangrat

OGLĄDAMY CYRK

Oto tygrys
pręgowany
do skoku gotowy.
Treser
karmi go co rano
tortem cytrynowym.

To jest Leo, pan pustyni.
Parska, mruczy srogo,
bo mu pudel Rikikiki
nadepnął na ogon.

Tu na lince
malutka Gogo
spaceruje.
Dookoła areny
konik galopuje.

A ręce magika
tylko migają.
Podnosi cylinder
— kanarki latają.

Ogromny krokodyl
mile go wita.
Papugi gadają,
gdy on je pyta.

Wiera Badalska
Rys. Teresa Jaskierny
Jerzy Flisak

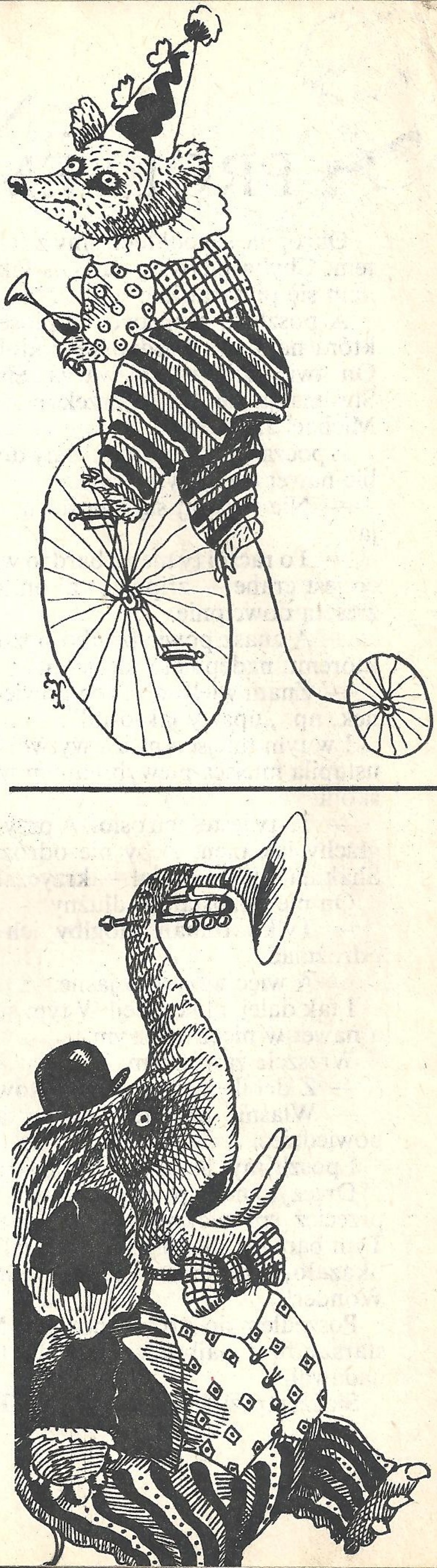

„NO PROBLEM”

Okropnie się pokłóciliśmy z Robertem. Chyba pierwszy raz coś takiego nam się przytrafiło.

A poszło o głupstwo. O piosenkę, która nam obu bardzo się podobała. On twierdził, że śpiewa ją Shakin Stevens, ja zaś byłem przekonany, że Michael Jackson.

Z początku przemawialiśmy do siebie nawet dość wytwornie.

— Nie popisuj się ignoracją — to ja.

— To raczej ty nie za bardzo wiesz, co jest grane — zripostował on, dość zresztą dowcipnie.

— A znasz powiedzonko o słoniu, któremu nadepnięto na ucho?

— Znam wiele lepszych powiedzonek, np. „uparty jak osioł”.

I w tym miejscu nasza wytworność ustąpiła miejsca niewybrednym wrzaskom.

— To ty jesteś ten osioł. A przy tym głuchy jak pień. Żeby nie odróżniać Shakina od Michaela! — krzyczałem.

On nie pozostał mi dłużny.

— Tylko tuman mógłby ich nie odróżniać.

— A więc wszystko jasne.

I tak dalej, i tak dalej! W tym stylu, a nawet w nieco gorszym.

Wreszcie zawołałem:

— Z debilem trudno dyskutować!

— Właśnie chciałem ci to samo powiedzieć.

I poszliśmy. Każdy w swoją stronę.

Dręczyło mnie poczucie winy. To ja przecież sprowokowałem tę kłótnię. Tym bardziej niedorzeczną, że jak się okazało, piosenkę śpiewał... Steve Wonder!

Poszedłem do Adama po radę. Mój starszy brat najbardziej się do tego nadawał.

Siedział przy biurku, coś pisał. Kiedy wszedłem, błyskawicznie przykrył arkusik książką.

„Znów wiersz do Elizabety” — domyśliłem się.

Mój braciszek był zakochany w pewnej idiotce, która miała na imię Elżbieta, ale kazała do siebie mówić Elizabet.

W związku z tą miłością Adam miewał ostatnio liryczne nastroje. Często siedział zamyślony i patrzył w przestrzeń albo pisał wiersze.

Podobno w jego wieku to normalne, ja jednak mam nadzieję, że uda mi się nie zgłupieć w podobny sposób.

Kiedyś znalazłem koło biurka strzępki jego miłosnej twórczości. Zachowały się poszczególne słowa: „... czy jak chabry” „... sy jak zielony wiatr”. Domyśliłem się z wrodzoną bystrością, że Elizabeta miała oczy jak chabry i włosy jak zielony wiatr. Nie były to porównania zbyt oryginalne, a przy tym trochę dziwne. Czyżby ona miała zielone włosy?

— Jak leci? — zapytał odwracając do mnie głowę.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy warto zasięgać jego rady, kiedy on sam nie bardzo sobie radzi ze sobą, ale on uśmiechnął się po bratersku i zapytał:

— Kłopoty?

— Tak jakby. Przyszedłem po radę.

— „No problem” — odpowiedział.

Było to ulubione powiedzonko mojego starszego brata. Jak zresztą wielu dżentelmenów w jego wieku.

Podszedłem bliżej i usiadłem obok niego, z drugiej strony biurka.

Adam uśmiechał się sympatycznie. W gruncie rzeczy był z niego klawy gość i świetny kumpel.

Przedstawiłem mu pokrótce przebieg naszej kłótni.

— A o co właściwie wam poszło? — zapytał jednak.

— O zupełne głupstwo. Chyba o jakąś piosenkę...

— Chcesz go przeprosić? — zapytał, kiedy skończyłem swoją żałosną opowieść.

— A ty jak myślisz?

— Ja bym przeprosił — powiedział stanowczo.

— No, tak... ale on też był winien...

— Z twojej opowieści wynika, że to ty zacząłeś.

Mówił do mnie, ale widać było, że myśli o czym innym. Stawał się z każdą chwilą bardziej roztargniony.

— Dobra! Zadzwonię do niego!

Ocknął się z zamyślenia.

— Nie przez telefon! — powiedział stanowczo. — Musisz to zrobić osobiście.

— On mieszka na drugim końcu miasta!

— Uważasz, że to za duże poświęcenie?! Dziwne. Zdawało mi się, że się przyjaźnicie.

— Bo tak było...

— Ja bym poleciał nie tylko na drugi koniec miasta, ale nawet na Księżyc — zapalił się nagle.

— Do przyjaciela? — zapytałem podstępnie.

Trochę się zmieszał.

— Zrobisz, jak zechcesz — powiedział nieco zły. — To przecież twoja sprawa.

Pojechałem. Roberta nie było w domu. Jego mama powiedziała, że poszedł do kina.

Przez całą powrotną drogę zastanawiałem się, z kim mógł pójść. Dotychczas do kina chodziliśmy razem.

W ponurym nastroju wszedłem do pokoju, który zajmowałem razem z Adamem. Siedział na tapczanie, obok stał telefon, a on czule obejmował słuchawkę, do której szeptał żarliwie:

— Nie możesz się tak długo na mnie gniewać, Elizabet. Przecież to trwa już całe wieki. I co ja właściwie takiego zrobiłem! — dodał po chwili z goryczą.

Potem trwało dłuższe milczenie. I znów się odezwał. Głos jego był błagalny. — Napisałem wiersz dla ciebie... Chcesz posłuchać?

Widocznie nie chciała, bo zrezygnowany odłożył słuchawkę.

Odwrócił się i zobaczył mnie. Cały spurpurowiał.

— Czego podsłuchujesz? — krzyknął.

— Nie mam takiego zwyczaju — powiedziałem z godnością. — Poza tym dopiero wszedłem. A przy okazji chciałbym ci przypomnieć, że ja też mieszkam w tym pokoju.

— Miałeś jechać do Roberta.

— Właśnie wróciłem — powiedziałem ponuro.

— No i co? — zapytał.

— No i nic — odpowiedziałem.

Zrobiło mi się okropnie smutno. Poczułem się bardzo samotny. Sam jeden na świecie. Brat zobojętniał dla mnie i straciłem najlepszego przyjaciela.

W tej chwili zadzwonił telefon. Adam błyskawicznie podniósł słuchawkę. Widocznie z tamtej strony przyszło ułaskawienie, bo twarz jego rozjaśniła się najszczęśliwszym uśmiechem. Odłożył słuchawkę i zaczął pogwizdywać.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Adam poszedł otworzyć. Za chwilę wrócił i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

— Gość do ciebie.

Przede mną stał Robert. Miał skruszoną minę.

— Jak się masz, stary! — zawołał i uśmiechnął się.

Adam ruszył w kierunku drzwi:

— Wychodzę! Nie będę wam przeszkadzał, panowie. Czy mogę wziąć twój nowy szalik, Jacku?

— No problem — powiedziałem.

Roześmiał się i wybiegł z pokoju.

Zawołałem za nim:

— Lecisz na Księżyc?!

— Coś w tym rodzaju — powiedział i już go nie było.

Wanda Osuchowska-Orłowska

Rys. Marek Ziarkowski

KASZTANKA

(Ciąg dalszy ze str. 7)

Nieudany debiut

Pewnego pięknego wieczora gospodarz wszedł do pokoiku z brudnymi tapetami i, zacierając ręce, powiedział:

— No, więc...

Chciał jeszcze coś dodać, ale nie dodał i wyszedł z pokoju. Ciotka, doskonale poznawszy w czasie lekcji jego twarz i ton głosu, domyśliła się, że był zdenerwowany, zakłopotany i, zdaje się, zły. Niebawem wrócił i powiedział:

— Dzisiaj wezmę ze sobą Ciotkę i Teodora Timofieicza. W „piramidzie egipskiej", ty, Ciotko, zastąpisz dzisiaj nieboszczyka Iwana Iwanycza. Diabli wiedzą, co to będzie! Nic nie przygotowano, niczego się nie nauczono, repetycji było niewiele! Zbłaźnimy się, klapę zrobimy!

Po czym znowu wyszedł i po chwili wrócił w futrze i cylindrze. Podszedłszy do kota wziął go za przednie łapy, podniósł i schował za pazuchę pod futrem. Teodor Timofieicz wydawał się zupełnie obojętny i nawet nie raczył otworzyć oczu. Było mu widocznie absolutnie wszystko jedno, czy leży, czy podnoszą go za nogi, czy wyleguje się na materacyku, czy siedzi za pazuchą pod futrem u gospodarza...

— Ciotko, idziemy! — powiedział gospodarz.

Nic nie rozumiejąc, ale merdając ogonkiem Ciotka podążyła za nim. Po chwili już siedziała w sankach u nóg gospodarza i słuchała, jak kuląc się z chłodu i zdenerwowania gospodarz mruczał:

— Zbłaźnimy się! Zrobimy klapę!

Sanie zatrzymały się przed wielkim, dziwnym budynkiem, podobnym do wazy wywróconej do góry dnem. Długi podjazd tego domu z trojgiem oszklonych drzwi był oświetlony tuzinem latarni. Drzwi otwierały się dzwoniąc i jak usta połykały ludzi, którzy kręcili się przed podjazdem. Ludzi było dużo, często podjeżdżały konie, ale psów nie było widać.

Gospodarz wziął Ciotkę na ręce i wsunął za pazuchę pod futro, gdzie znajdował się Teodor Timofieicz. Było tu ciemno i duszno, lecz ciepło. Na moment zaświeciły się dwie mętne, zielone iskierki — to kot, któremu zakłóciły spokój chłodne i szerokie łapy sąsiadki, otworzył oczy. Ciotka liznęła go w ucho i, chcąc usadowić się możliwie jak najwygodniej, niespokojnie się poruszyła, zgarnęła go przed siebie zimnymi łapami i niechcący wysunęła spod futra pyszczek, ale w tej chwili warknęła ze złością i skryła się z powrotem. Wydało się jej, że zobaczyła olbrzymi, źle oświetlony pokój, pełny potworów; z przegródek oraz zza siatek, które ciągnęły się po obu stronach pokoju, wyglądały okropne gęby końskie, rogate, długouche i jedna jakaś ogromna gęba z ogonem zamiast nosa oraz dwiema ogryzionymi kośćmi sterczącymi z pyska.

Kot schrypniętym głosem miauknął pod łapami Ciotki, ale w tej chwili futro rozchyliło się, gospodarz powiedział „hop"! i Teodor Timofieicz wraz z Ciotką zeskoczyli na podłogę. Znajdowali się teraz w malutkim pokoiku o ścianach z szarych desek; oprócz niewielkiego stolika z lustrem, taboretu i szmat porozwieszanych w kątach nie było tu więcej żadnych mebli, zamiast zaś lampy albo świecy palił się jaskrawy, wachlarzowaty płomień przymocowany do rurki wbitej w ścianę. Teodor Timofieicz oblizał swe futro zmięte przez Ciotkę, poszedł pod taboret i tam się położył. Gospodarz, wciąż jeszcze zdenerwowany, zaczął się rozbierać, zacierając ręce... Rozbierał się tak, jak zwykle w domu, kiedy miał położyć się pod bajową kołdrę, to jest zdjął z siebie wszystko prócz bielizny, potem usiadł na taborecie i, patrząc w lustro, zaczął wyrabiać ze sobą nadzwyczajne sztuki. Przede wszystkim włożył na głowę perukę z przedziałkiem i dwoma lokami podobnymi do rogów, następnie wysmarował dokładnie twarz czymś białym i na tym namalował brwi, wąsy i rumieńce. Wysmarowawszy twarz i szyję zaczął wkładać na siebie jakiś niezwykły i do niczego niepodobny strój, taki jakiego Ciotka dotychczas nie widziała w żadnym domu ani na ulicy. Proszę wyobrazić sobie bardzo obszerne pantalony, zapinające się aż pod pachami, z jedną nogawicą z perkalu brązo-

wego, drugą — z jasnożółtego. Utonąwszy w nich gospodarz włożył jeszcze perkalową kurtkę z dużym kołnierzem, wyciętym w zęby i ze złotą gwiazdą na plecach, potem naciągnął na nogi różnokolorowe pończochy oraz zielone pantofle...

Od tych kolorów Ciotce zamigotało w oczach. Białolica i workowata postać pachniała gospodarzem, głos również był znajomy, lecz bywały chwile, kiedy Ciotkę męczyła wątpliwość i wówczas gotowa była uciekać przed tą pstrą figurą i szczekać. Nowe miejsce, wachlarzowaty płomyczek, zapach, metamorfoza*, której uległ gospodarz — wszystko to napełniało ją nieokreślonym strachem i przeczuciem, że na pewno spotka się z czymś okropnym, z czymś w rodzaju tłustej maszkary z ogonem zamiast nosa. A tu jeszcze na dodatek wszystkiego gdzieś daleko za ścianą grała nieznośna orkiestra i od czasu do czasu dolatywało niezrozumiałe porykiwanie. Jedyne, co dodawało jej odwagi, to był niezmącony spokój Teodora Timofieicza, który najspokojniej drzemał pod taboretem i nie otwierał oczu nawet wtedy, kiedy taboret się poruszał.

Jakiś mężczyzna we fraku i białej kamizelce zajrzał do pokoiku i powiedział:

— W tej chwili wychodzi miss Arabella. Po niej — pan.

Gospodarz nic nie odpowiedział. Wyciągnął spod stołu walizę, usiadł i czekał. Po jego ustach i rękach widać było, że się denerwował, i Ciotka słyszała jego nierówny i dygocący oddech.

— Mr. George, pan będzie łaskaw! — krzyknął ktoś za drzwiami.

Gospodarz podniósł się, trzy razy się przeżegnał, następnie wyciągnął spod taboretu kota i włożył go do walizy.

— Chodź, Ciotka! — powiedział cicho.

Ciotka, nic nie rozumiejąc, podeszła do niego, on zaś pocałował ją w głowę i położył obok Teodora Timofieicza. Potem nastąpiła ciemność... Ciotka deptała po kocie, drapała ścianki walizy i z przestrachu nie mogła wydać najmniejszego dźwięku, waliza zaś kołysała się jak na falach morskich i dygotała...

— A oto jestem i ja! — głośno krzyknął gospodarz. — A oto jestem i ja!

Ciotka poczuła, że po tym okrzyku waliza uderzyła o coś twardego i przestała się kołysać. Rozległ się głośny, ogólny ryk, kogoś klepano i ten ktoś — była to prawdopodobnie gęba z ogonem zamiast nosa — ryczał i chichotał tak głośno, że aż zameczki u walizy dygotały. W odpowiedzi na ten ryk gospodarz zaśmiał się przenikliwym i piskliwym śmiechem, tak jak nigdy w domu się nie śmiał.

— Ha! — krzyknął usiłując zagłuszyć ryk. — Szanowna publiczności! Przybyłem w tej chwili z dworca! Moja babcia umarła i zostawiła mi spadek! W walizie jest coś ciężkiego — prawdopodobnie złoto... Zaraz otworzymy i przekonamy się...

Szczęknął zamek. Jaskrawe światło poraziło wzrok Ciotki. Ciotka wyskoczyła daleko z walizki i, ogłuszona rykiem, szybko, ile tylko miała siły, zaczęła biegać dokoła swego pana i zachłysnęła się dźwięcznym szczekaniem.

— Ha! — krzyknął gospodarz. — Wujek Teodor Timofieicz! Droga Ciotunia! Kochani krewni, bodajby was diabli wzięli!

Upadł brzuchem na piasek, schwycił kota i Ciotkę i zaczął ich obejmować i ściskać. Podczas gdy trzymał ich w objęciach, Ciotka pobieżnie obejrzała miejsca, na które zagnał ich los i, oszołomiona jego wspaniałością, znieruchomiała na moment ze zdziwienia i dumy, następnie wyrwała się z objęć swego pana i na skutek silnego wrażenia, jak fryga zakręciła się w kółko. Nowy świat był olbrzymi i pełen jaskrawego światła. Gdzie tylko spojrzeć, wszędzie — od podłogi do sufitu — nic, tylko twarze, twarze, twarze.

— Ciotuniu, proszę spocząć! — krzyknął gospodarz.

Pamiętając, co to znaczy, Ciotka wskoczyła na krzesło i usiadła. Spojrzała na swego pana. Oczy jego, jak zawsze, patrzyły poważnie i pieszczotliwie, ale twarz, w szczególności usta i zęby, zeszpecone były szerokim, nieruchomym uśmiechem. Chichotał, podskakiwał, wymachiwał rękami i udawał, że jest mu bardzo przyjemnie w towarzystwie tysięcy twarzy. Ciotka uwierzyła w jego dobry humor, na całym ciele poczuła spojrzenia tysięcy oczu, podniosła do góry swój lisi pyszczek i z wielkiej radości zawyła.

— Niech Ciotunia posiedzi spokojnie — powiedział gospodarz — a ja sobie potańcuję z wujaszkiem.

Teodor Timofieicz, oczekując, kiedy przyjdzie na niego kolej wyczyniania głupstw, stał obok i obojętnie rozglądał się na wszystkie strony. Tańczył ospale, niedbale, posępnie i po jego ruchach, po ogonie i po wąsach można było poznać, jak straszliwie pogardzał tłumem, jaskrawym światłem, gospodarzem, a nawet samym sobą... Potańczywszy jakiś czas, ziewnął i usiadł.

— A teraz ty, Ciotuniu — powiedział gospodarz. — Najpierw sobie zaśpiewamy, a potem również zatańczymy. Dobrze?

Wyjął z kieszeni fujarkę i zagrał. Ciotka, nie cierpiąc muzyki, niespokojnie poruszyła się na krzesełku i zawyła. Ze wszystkich stron ro-

---

* metamorfoza — przemiana

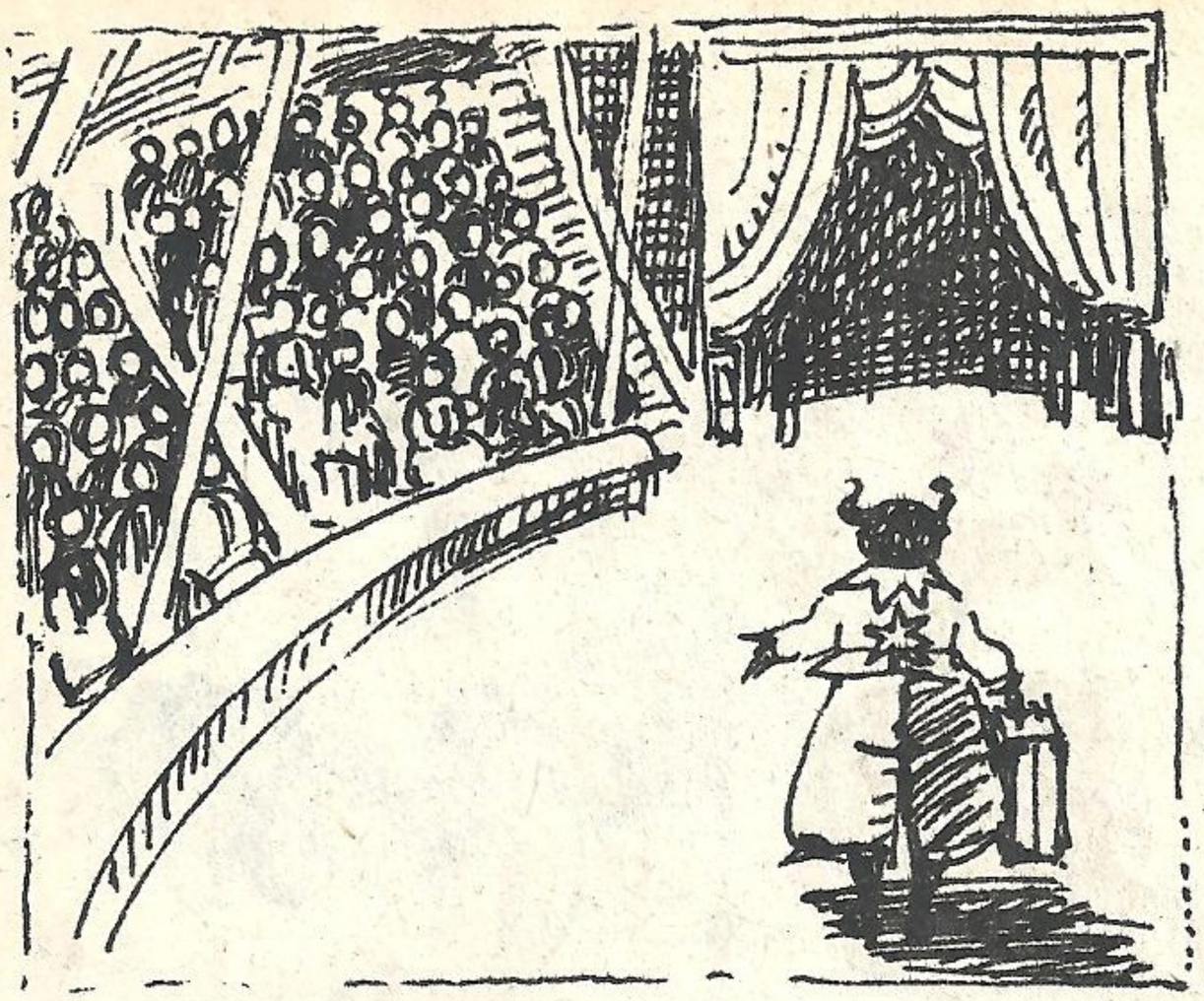

zległ się ryk i oklaski. Gospodarz ukłonił się i gdy zaległa cisza, znowu zagrał... Nagle, gdzieś na górze, wśród publiczności ktoś głośno krzyknął.

— Tato! — rozległ się dziecinny głos. — A przecież to nasza Kasztanka!

— Tak, to jest Kasztanka! — potwierdził drżący, zapijaczony tenorek. — Kasztanka! Teodorek, niech mnie Bóg skarze, jeżeli to nie Kasztanka! Fiut!

Ktoś gwizdnął na galerii i dwa głosy, jeden dziecinny, drugi męski, głośno zawołały:

— Kasztanka! Kasztanka!

Ciotka drgnęła i spojrzała w stronę, skąd dolatywały głosy. Dwie twarze — jedna włochata, pijacka i uśmiechnięta, druga — pucołowata, czerwonolica i przestraszona, rzuciły się jej w oczy jak poprzednio jaskrawe światło... Kasztanka przypomniała sobie wszystko, zeskoczyła z krzesła i zaczęła się miotać po piasku, potem poderwała się i z radosnym skomleniem rzuciła się w kierunku tych twarzy. Rozległ się ogłuszający ryk pomieszany z gwizdaniem, ale ponad wszystkim górował przenikliwy, dziecinny krzyk:

— Kasztanka! Kasztanka!

Ciotka przeskoczyła przez barierę, następnie przez czyjeś ramię i znalazła się w loży; żeby dostać się na następne piętro, trzeba było przeskoczyć przez wysoką ścianę: Ciotka podskoczyła, lecz nie podołała temu i zsunęła się po ścianie na dół. Ale natychmiast zaczęto podawać ją sobie z rąk do rąk: lizała czyjeś ręce i twarze, wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie znalazła się na galerii...

***

W pół godziny potem Kasztanka szła ulicą za dwiema osobami pachnącymi klejem i politurą. Łukasz Aleksandrycz zataczał się i instynktownie, nauczony doświadczeniem, usiłował trzymać się jak najdalej od rynsztoka.

— W bezdennej przepaści grzechów, we wnętrznościach swoich poniewieram się... — mruczał. — A ty, Kasztanko, jesteś jednym wielkim nieporozumieniem. W porównaniu z człowiekiem znaczysz tyle, co cieśla w porównaniu ze stolarzem.

Teodorek kroczył obok ojca w ojcowskiej czapce. Kasztanka spoglądała na ich plecy i wydawało się jej, że idzie tak za nimi od dawna i że życie jej nie zmieniło się nigdy ani na chwilę.

Przypomniała sobie pokoik z brudnymi tapetami, gąsiora, Teodora Timofieicza, smaczne obiady, naukę, cyrk, ale wszystko to wydawało się jej teraz tylko długim, dziwacznym, ciężkim snem...

KONIEC

Antoni Czechow

Tłumaczył z jęz. rosyjskiego
Kazimierz Truchanowski
Rys. Maria Mackiewicz

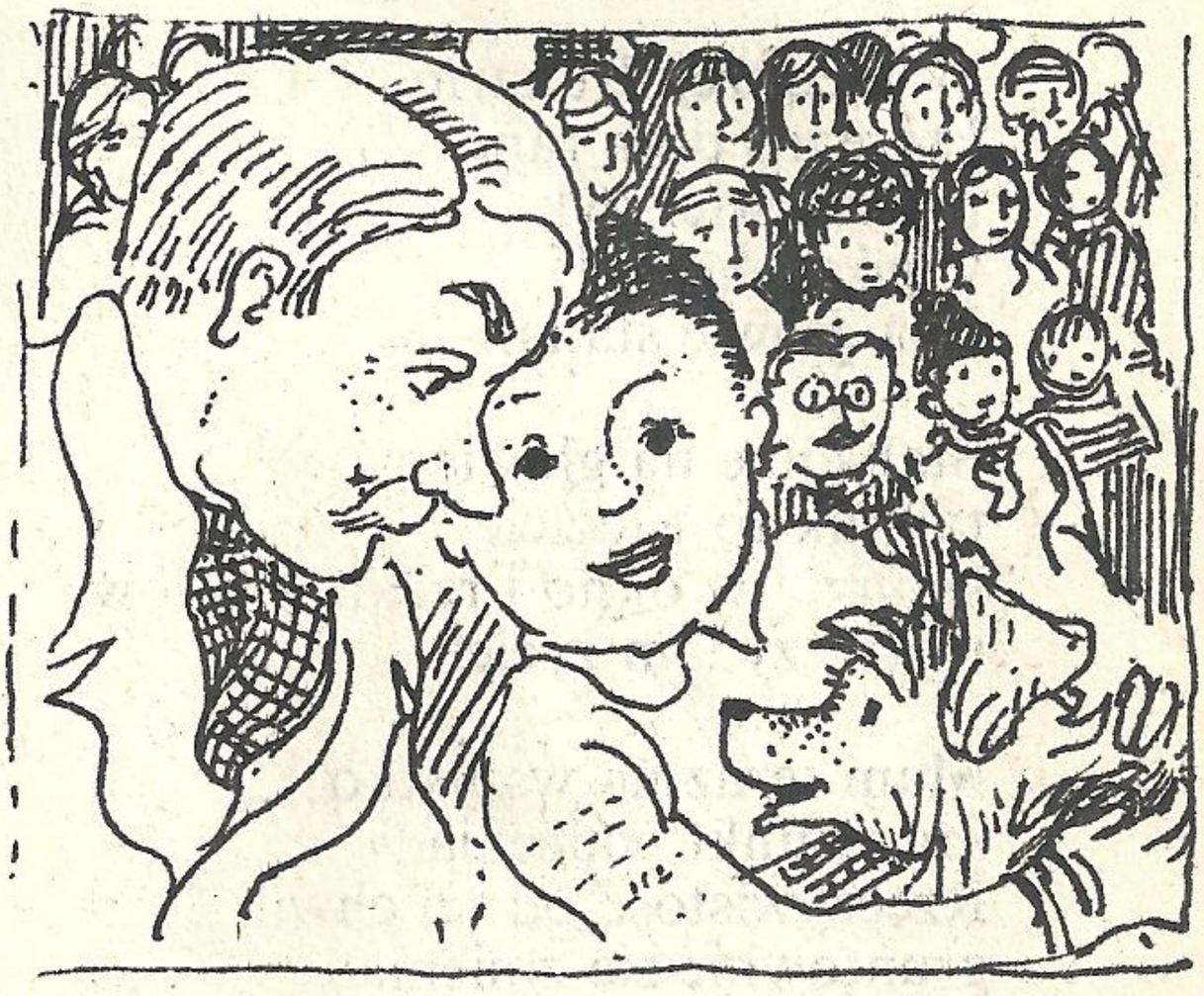

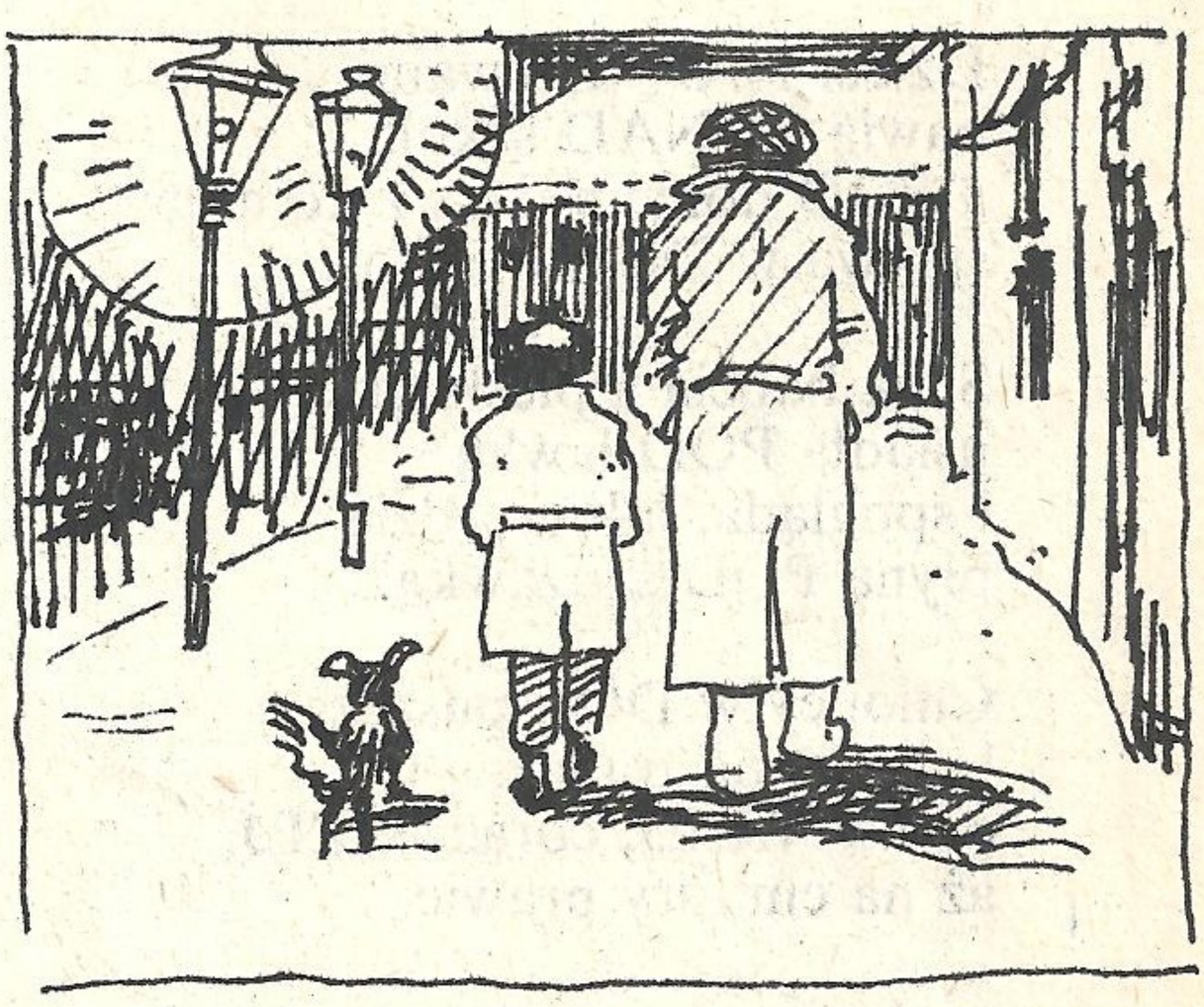

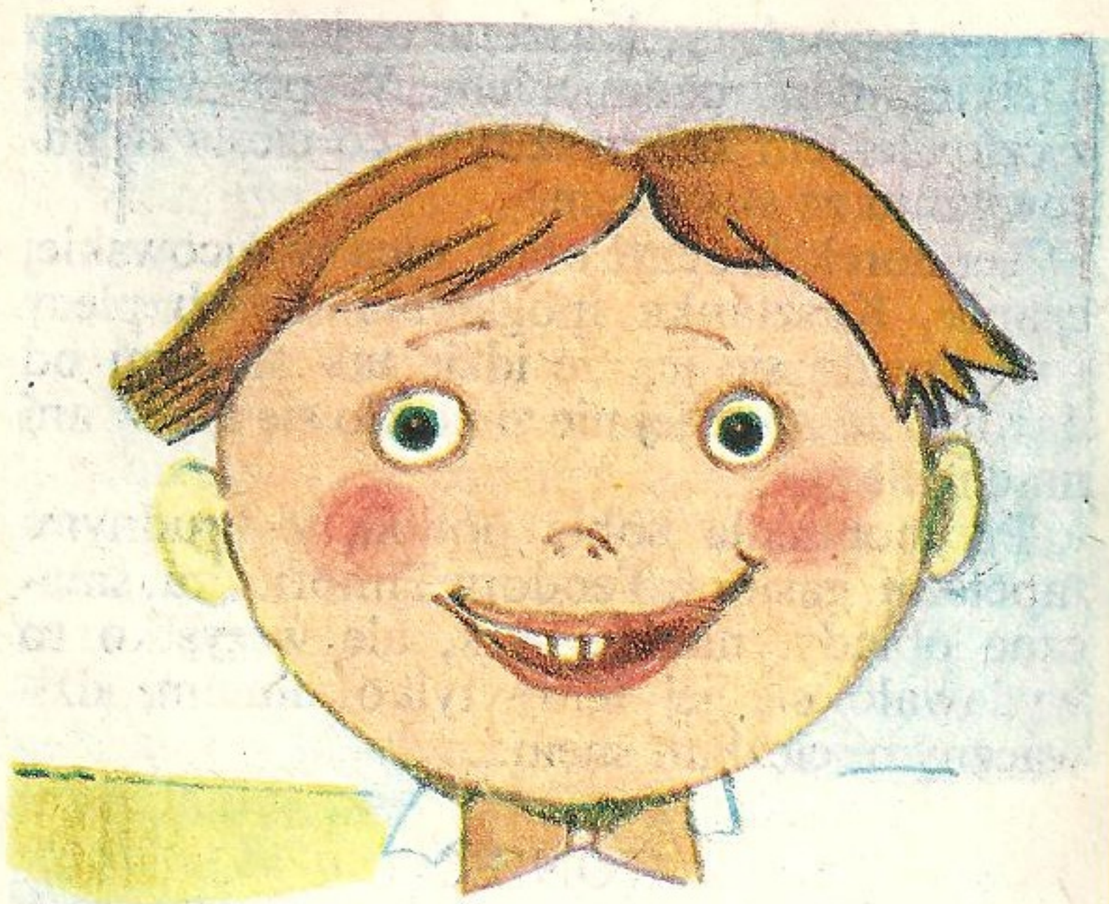

... I STANĄŁ NA GŁOWIE

W niedużej drukarni
któregoś dnia rano
pewien wierszyk
w górę skoczył
i na głowie stanął.

Stał sobie na głowie,
tak jak to widzicie,
spojrzał w okno i rzekł: — Nowe
rozpoczynam życie!

Mam teraz na wszystko
inny punkt widzenia.
Rzeczywistość od tej chwili
gruntownie się zmienia:

Dzieci NAD drzewami
bawią się NAD szkołą,
a POD domem dym z komina
spływa w DÓŁ wesoło.

Siwa babcia z pieskiem
usiadła POD ławką
i spogląda, jak łabędzie
płyną POD sadzawką.

Chłopcy w DÓŁ puszczają
latawca na trawie:
coraz NIŻEJ, coraz NIŻEJ,
aż na chmury prawie.

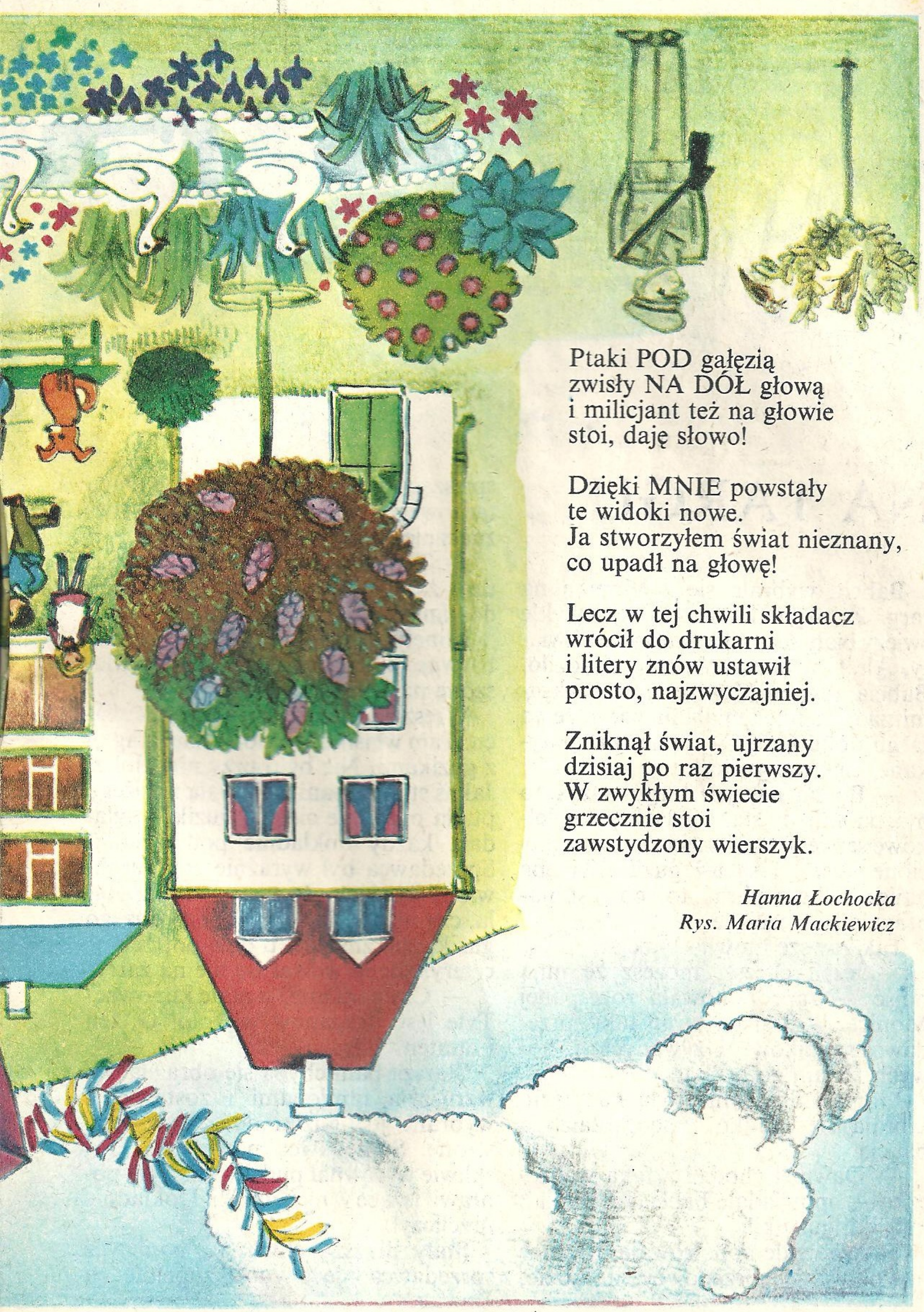

Ptaki POD gałęzią
zwisły NA DÓŁ głową
i milicjant też na głowie
stoi, daję słowo!

Dzięki MNIE powstały
te widoki nowe.
Ja stworzyłem świat nieznany,
co upadł na głowę!

Lecz w tej chwili składacz
wrócił do drukarni
i litery znów ustawił
prosto, najzwyczajniej.

Zniknął świat, ujrzany
dzisiaj po raz pierwszy.
W zwykłym świecie
grzecznie stoi
zawstydzony wierszyk.

Hanna Łochocka
Rys. Maria Mackiewicz

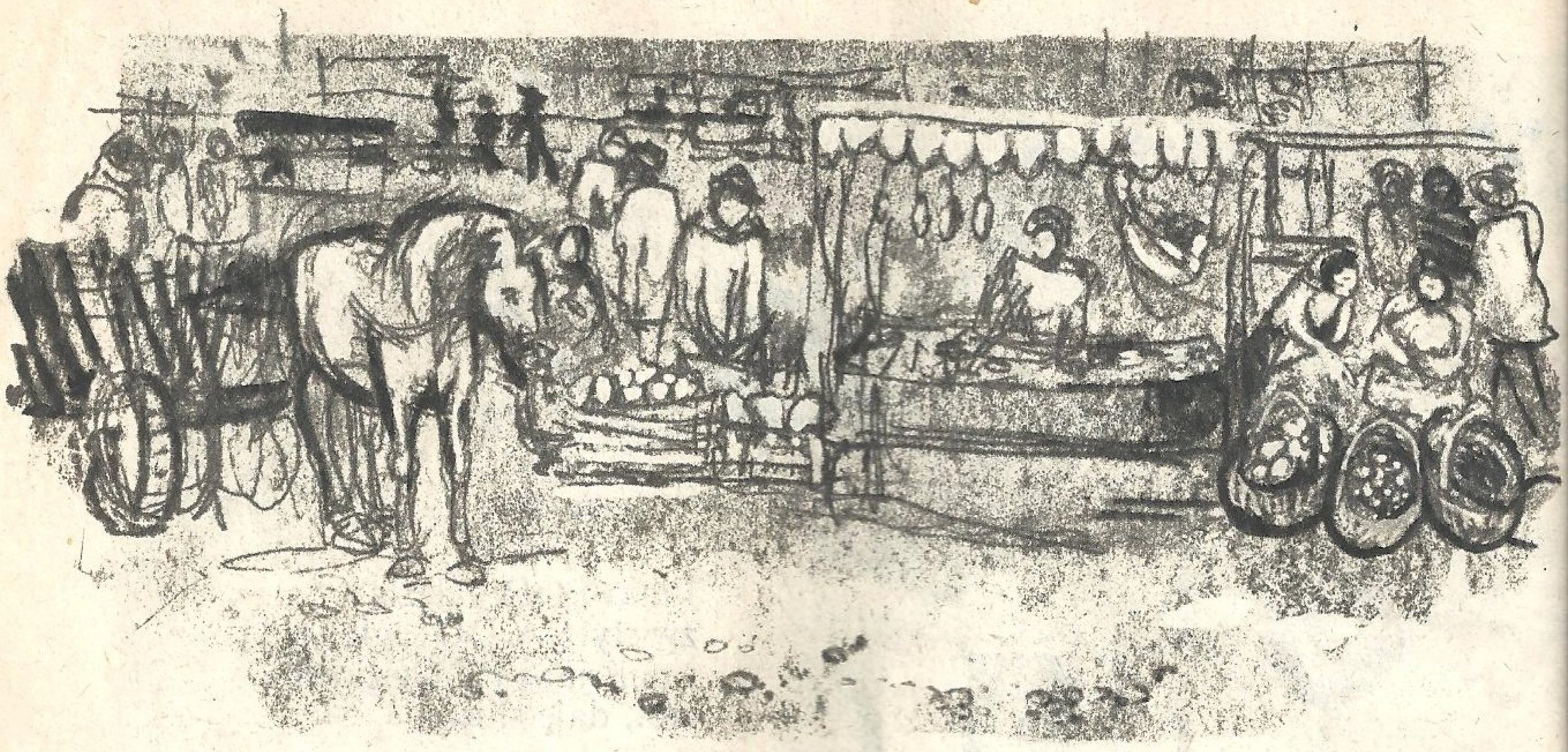

NA TARGU

Babcia wybrała się z Moniką na targ. Z targu przynosiło się zwykle świeży biały ser, jajka, warzywa i kwiaty. Ale tym razem nie o to chodziło. Babcia uszyła Monice nową, aksamitną sukienkę i miała nadzieję, że na targu dokupi do niej jakieś niespotykane, ciekawe guziczki.

— Bo na naszym targu wszystko można kupić: stare żelazka, szydełkowe serwety, dwojaczki gliniane i plecione kosze. I są też guziki. Trzeba umieć tylko wybrać to, co jest naprawdę interesujące.

Tak zawsze mówiła babcia.

— Jeżeli chcesz, możesz ze mną pójść — zaproponowała rozespanej Monice. — Jest na targu taki sprzedawca guzików. Używanych i nowych. Znam go od lat.

Monika nigdy nie była na targu. Ubrała się prędko i podreptała za babcią.

— Dawniej chodził z taką walizeczką — opowiadała babcia — i wołał: guziiiki! guziiiki!

Babcia zademonstrowała Monice nawoływanie sprzedawcy, a ludzie, spieszący się jak i one w stronę placu targowego, oglądali się za nimi nieznacznie.

— Teraz ma już swój stragan. Sądzę, że u niego coś odpowiedniego dostaniemy.

Minęły stragany z butami i różnobarwne wstążki do włosów rozwieszone na sznurkach.

Wreszcie znalazły się na końcu placu. Tam właśnie znajdował się stragan z guzikami. Nie było przy nim tłoku. Jakaś starsza pani wybierała z dużego pudła ogromne ciemne guziki i oglądała każdy dokładnie pod światło. Sprzedawca był wyraźnie zniecierpliwiony jej obecnością. A kiedy zapytała, czy nie ma jeszcze jednego dużego guzika, bo znalazła trzy, a potrzebuje cztery, zdenerwował się nie na żarty:

— Czy pani musi u mnie kupować? Tyle jest straganów wokoło! O, ten i tamten.

Starsza pani chyba się obraziła, bo wzruszyła ramionami i zostawiając wybrane już guziki odeszła w inną stronę. Sprzedawca poweselał. Troskliwie wyrównał pudełka, ułożył i poprawił leżące w nich guziki. Dokładnie przeliczył.

Stały dłuższą chwilę, a ponieważ sprzedawca nie zwracał zupełnie na

nie uwagi, babcia odezwała się wreszcie:

— Szukam guziczków do sukienki dla mojej wnuczki. Mogą być stare. Sukienka jest w kolorze ciemnego wina. Guziczki niech będą nieduże, w kolorze starego złota.

Sprzedawca w zamyśleniu słuchał jej słów, a potem wrócił do swoich zajęć.

— Pytałam pana o coś — przerwała milczenie babcia.

Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem

— Nie widzi pani, że jestem bardzo zajęty? A poza tym nie ma takich guzików. — I odwrócił się do babci plecami. Babcia nie ustępowała.

— Specjalnie do pana przyszłam. Wiem, że nie w sklepie, tylko u pana można kupić to, czego potrzebuję. W sklepie są do męskiej koszuli, do bielizny, ale do sukienki, aksamitnej, stylowej w kolorze ciemnego wina? Czy mogę sama pogrzebać w tym pudle, skoro pan nie ma na to czasu?

— Tylko niech pani tu niczego nie rusza! — Sprzedawca odwrócił się gwałtownie. — Jeżeli już m u s i pani u mnie coś kupić, to sam poszukam.

Bez pośpiechu zaczął przeszukiwać kolejne pudła. Niezadowolony i niechętny. Wreszcie z ociąganiem podał babci na dłoni cztery małe, złote guziczki. Dokładnie takie, jakie wymarzyła sobie do sukienki. Babcia uśmiechnęła się nieznacznie, podała je Monice i zapłaciła.

Były rzeczywiście piękne: chłodne i ciężkie. Złote, ale nie błyszczące. Bardzo się Monice podobały. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego sprzedawca nie chciał ich sprzedać?

Wieczorem, gdy babcia rozłożyła na fotelu nową sukienkę, guziki w półmroku zaczęły tajemniczo połyskiwać.

Wyobraziła sobie nagle tego człowieka, jak w swoim mieszkaniu, przy kuchennym stole, przelicza w skupieniu zgromadzone w pudełkach skarby.

I nie jest dla niego ważne, ile tego dnia zarobił na targu. Gładząc pudełka i wpatrując się w kolorowe plastykowe i kościane krążki cieszy się, że oto udało mu się jeszcze o jeden dzień odwlec moment rozstania z ukochanymi guzikami.

Małgorzata Kaliszewska
Rys. Joanna Kusek

SPECJALNIE DLA „PŁOMYCZKA"

Z KUBY

Hawana jest pięknym miastem, położonym nad Oceanem Atlantyckim. Kilometrami ciągną się wspaniałe plaże...

„KUBA, wyspa jak wulkan gorąca...”

Kuba — to duża wyspa, leży na Morzu Karaibskim. Niedaleko już stąd do Meksyku, Haiti, Wenezueli czy też USA.

Po kilkunastu godzinach podróży samolotem, startującym z Pragi, wylądowaliśmy na lotnisku w Hawanie. Nawet w samym środku nocy było tu bardzo gorąco i parno. Czuliśmy się jak w łaźni.

Hawana, stolica Kuby, leży nad Oceanem Atlantyckim. Kilometrami ciągą się tutaj wspaniałe, piaszczyste plaże. Lato (w naszym rozumieniu) trwa tu przez cały rok, a najniższa temperatura w „zimie” — to kilkanaście stopni powyżej zera! Kąpać się można zawsze. We wrześniu, gdy miałem okazję odwiedzić ten piękny kraj, temperatura wody wynosiła 32° C!

Kubę zamieszkuje około 10,5 mln osób, z czego 2,5 mln mieszka w stolicy — Hawanie. To miasto jest dużo większe od Warszawy i zajmuje znacznie bardziej rozległy obszar. W starej Hawanie jest wiele zabytkowych budowli wzniesionych w dawnych czasach przez hiszpańskich kolonizatorów. Natomiast w nowoczesnym centrum handlowym zbudowano dużo drapaczy chmur, w których mieszczą się hotele, biura i szpitale. W samym centrum stoi najwyższy ze wszystkich domów, w którym umieszczono świetnie wyposażony szpital, wielką dumę Kubańczyków. Przeprowadza się w nim najbardziej skomplikowane zabiegi chirurgiczne.

Na ulicach Hawany widać sporo samochodów. Przeważają zdezelowane, wysłużone amerykańskie „krążowniki szos” — modele sprzed lat trzydziestu. Często spotykamy samochody produkcji radzieckiej, różnych marek i typów, a także... polskie małe fiaty, zwane tu „Polaccito”. Są tu bardzo poszukiwane i cenione. Dobrze się spisują w gorącym, tropikalnym klimacie.

Na ulicach różnokolorowy tłum. Można tu spotkać ludzi o wszystkich odcieniach skóry, od białej do najczarniejszej. Dzieci są schludnie ubrane. Chodzą do szkoły w mundurkach.

W dzielnicach otaczających Śródmieście parterowe domy otoczone są pięknymi ogrodami, w których rosną bananowce, palmy, drzewa cytrusowe i mnóstwo egzotycznych kwiatów. Palmy kokosowe można tu spotkać wszędzie: wzdłuż dróg, na polach, między budynkami.

Kuba jest dużą wyspą. Jej długość przekracza 1400 km, szerokość: 200—300 km. Z jednej strony jej brzegi biegną wzdłuż Oceanu Atlantyckiego, z drugiej — jest piękne Morze Karaibskie. Pojedźmy więc wspólnie w poprzek wyspy, do Cienfuegos, na kąpiel w ciepłym morzu. Ale o tym napiszę już w następnej relacji...

Tekst i fot. Józef Cypel

Typowa ulica w centrum Hawany

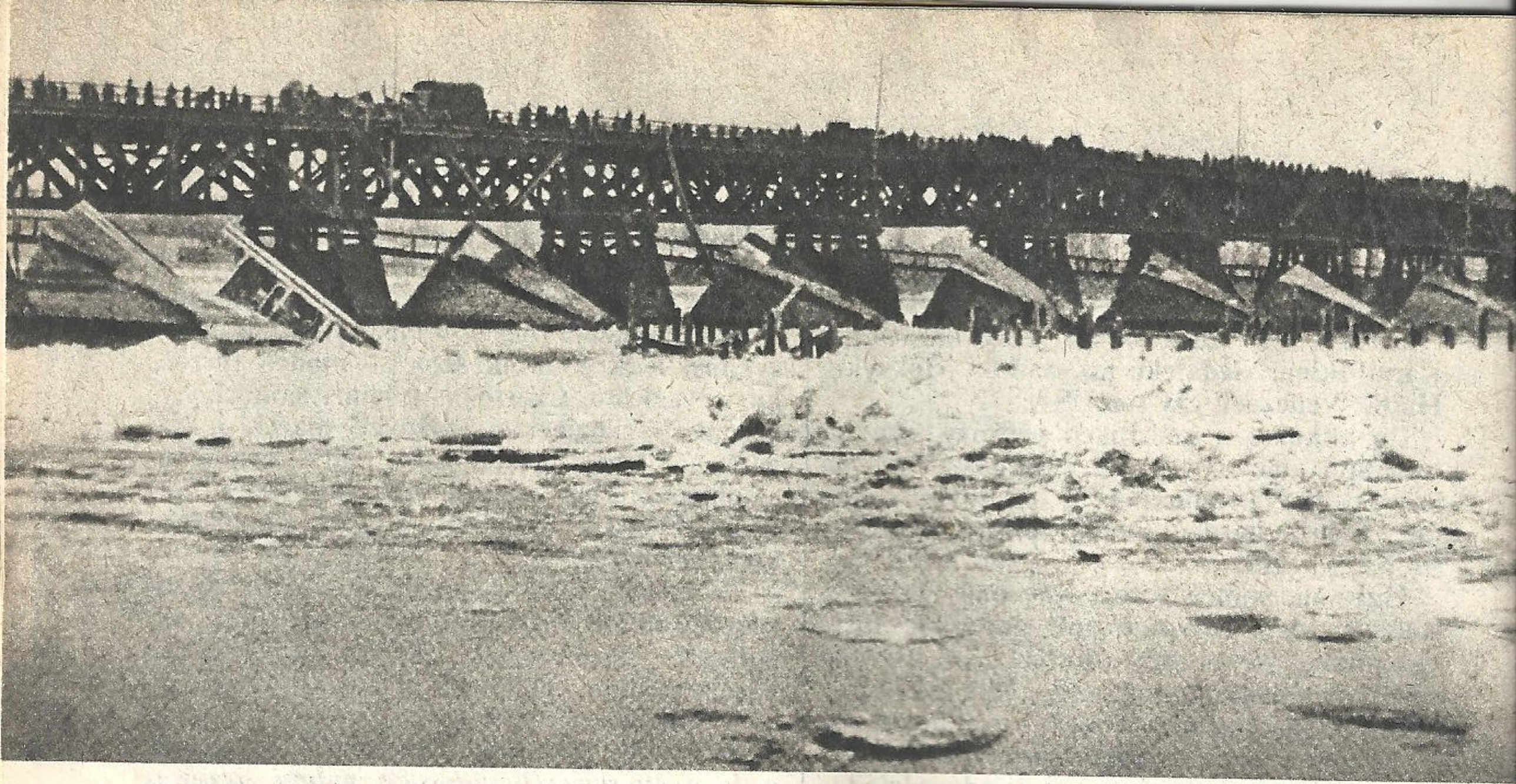

W 1945 r. w ciągu 8 dni zbudowano most wysokowodny

MOSTY wysokowodne

Warszawskie mosty: Poniatowskiego, Kierbedzia, Średnicowy, Kolejowy, Drogowy — w dniu wyzwolenia Stolicy (17.I.1945 r.) zrujnowane były przez hitlerowców.

Warszawiacy, nie zważając na srogie zakazy władz wojskowych, chcących ustrzec ludność przed minami i walącymi się ruinami, szli po wiślanym lodzie z Pragi do lewobrzeżnej Warszawy. Chcieli zobaczyć swoje ukochane, oswobodzone miasto i zrujnowane domy, w których niedawno mieszkali.

Kłopoty z przeprawą przez zamarzniętą Wisłę mieli również żołnierze uczestniczący w wielkiej styczniowej ofensywie.

I cywilom, i wojsku potrzebne były mosty. Zwłaszcza wojsku dla przeprawy ciężkiego sprzętu wojennego. Sprawy nie rozwiązywał most pontonowy, bo jak przeprawić po nim ciężkie czołgi i transporty z amunicją?

Toteż saperzy bez wytchnienia dzień i noc budowali u wylotu ul. Karowej most drogowy, a powyżej zrujnowanego mostu drogowego pod Cytadelą — most kolejowy.

Prace wykonywano bezpośrednio na lodzie, który podczas ówczesnej srogiej zimy osiągnął rzadko spotykaną grubość 40 cm.

Z podstawy lodowej wbijano w dno rzeki setki potężnych pali, po lodzie przenoszono niezbędne materiały i urządzenia.

Wytężona, ofiarna praca wojsk inżynieryjnych, dysponujących nowoczesnym sprzętem, przyniosła efekty. Most kolejowy oddano do użytku 1.II.1945 r. po 12 dniach wytężonej pracy, a potem drogowy u wylotu ul. Karowej, który nazwano mostem wysokowodnym.

Most kolejowy miał drewniane filary, ale wsparte na nich konstrukcje były odlane ze stali. Przejazd wymagał wielkiej ostrożności. Trzeba się było liczyć z tym, że szybkie tempo budowy w surowych, wojennych warunkach nie mogło zapewnić użytkownikom pełnego bezpieczeństwa. Toteż na warszawskich dworcach pociągi towarowe i ewakuacyjne, wojskowe i cywilne całymi dniami oczekiwały na przejazd przez Wisłę.

Wielki napływ mieszkańców do stolicy spowodował ogromnie utrudniony ruch na Moście Wysokowodnym u wylotu ul. Karowej.

Aby przedostać się samochodem lub furmanką na drugi brzeg, trzeba było stać godzinę albo dłużej w kolejce, jeśli przeprawy nie zakłóciła awaria jakiegoś pojazdu. Wtedy, zanim ekipy ratownicze usunęły „zawalidrogę", oczekiwanie przeciągało się do czterech godzin, co przy dużym mrozie było bardzo uciążliwe.

Sytuację ratowano montując wiosną, latem i jesienią mosty pontonowe, a także przewożąc ludzi łodziami. Ta prowizorka trwała do 1946 roku. 19.III.1946 r. oddano do użytku jeden tor na Moście Kolejowym pod Cytadelą, a 22 lipca tegoż roku — Most Poniatowskiego.

Ten luksus przeprawowy — warszawiacy mieli wtedy do dyspozycji aż 4 mosty (tzn. kolejowy wysokowodny, odbudowany kolejowy, wysokowodny drogowy i Most Poniatowskiego) — nie trwał długo. 20 marca

W marcu 1947 r. kra na Wiśle zniszczyła most wysokowodny i most kolejowy pod Cytadelą

1947 r. napierające zwały kry niesionej prądem wezbranej rzeki zniosły najpierw Most Wysokowodny, a później Kolejowy, mimo uporczywej, ofiarnej walki saperów z lodem.

Warto przypomnieć relację sprzed lat obrazującą te dramatyczne wydarzenia obserwowane z obu brzegów przez tłumy warszawiaków: „Pierwsze uderzenia napływającej kry lodowej nie zdołały uszkodzić ani izbic, ani podpór mostu wysokowodnego... dopiero gdy zaczęły napływać całe góry lodowe,... izbice nie wytrzymały.

O godz. 10.55 runęły do wody pierwsze przęsła mostu wysokowodnego.

W ciągu dalszych kilkudziesięciu minut uległy zniszczeniu następne przęsła.

Zwalone konstrukcje mostu wysokowodnego zaatakowały prowizoryczny most drewniany przy Cytadeli. Pod uderzeniem wraków oraz gęsto płynącej kry zdruzgotane zostały izbice oraz jedna podpora mostowa, co spowodowało runięcie dwu przęseł".

A co się stało z porwanymi przez rzekę drewnianymi elementami obu mostów? Odpowiedź daje nam ówczesna prasa:

„Fala, która minęła Warszawę... zabierając ze sobą zniszczone przęsła mostu wysokowodnego oraz mostu spod Cytadeli, wyrzuciła je pod Nowym Dworem na łąki sąsiadujące z brzegiem rzeki".

Sytuacja była bardzo trudna. Aby usprawnić przeprawę w r. 1947 zmontowano most pontonowy, a w niedalekiej przyszłości, bo w r. 1948, oddano do użytku Most Śląsko-Dąbrowski, którego przęsła spoczęły na ocalałych filarach dawnego Mostu Kierbedzia.

Józef Zięba

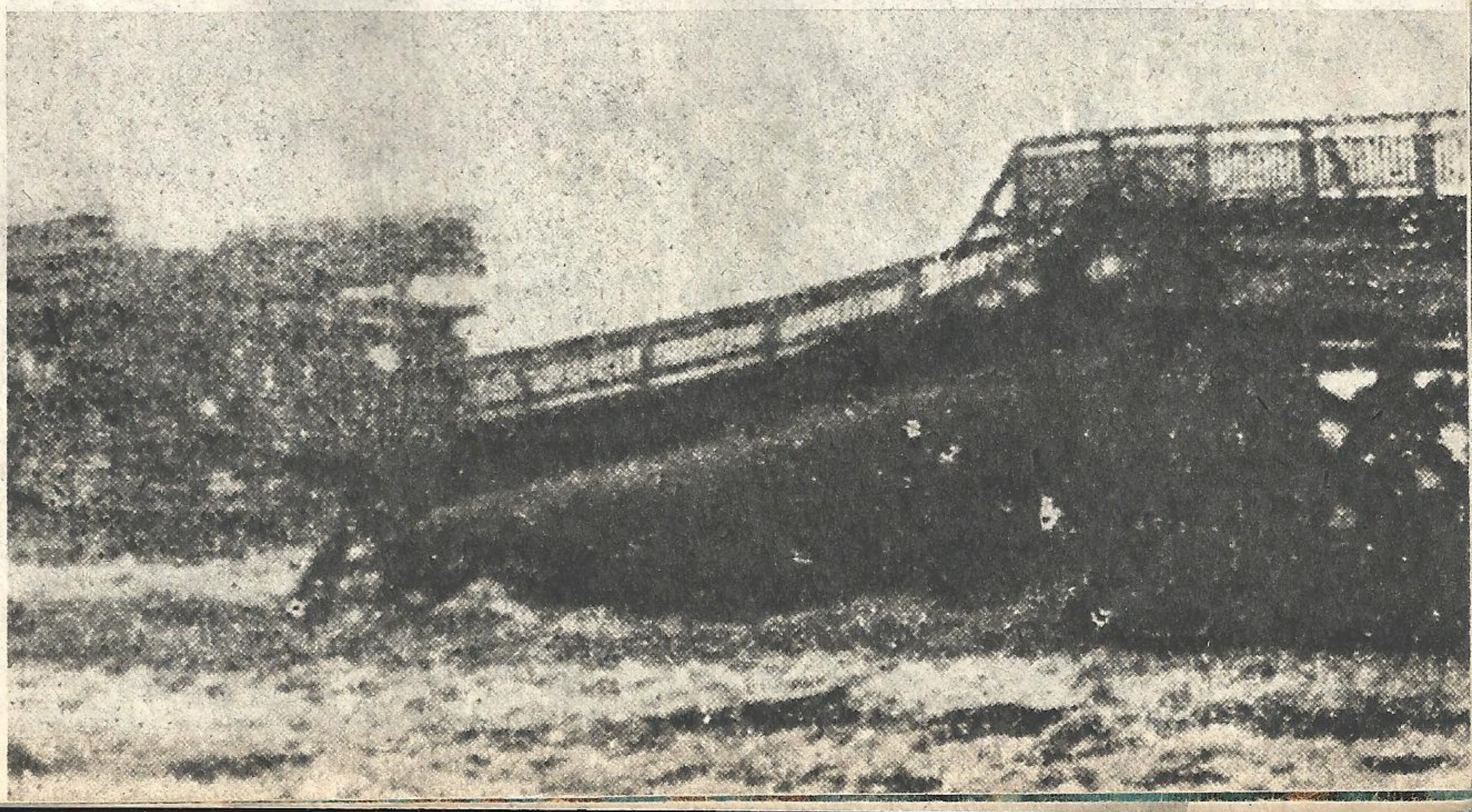

DZIWNE GŁOSY

Wiosna. W lesie, w polu i na łące jedne ptaki śpiewają pięknie, a inne znów drą się wniebogłosy — stosownie do zwyczaju gatunku. Wśród wdzięcznych melodii lub ptasiego jazgotu wyróżniają się rozmaite dziwne głosy — jedne ciche, inne bardzo głośne, niektóre podobne do dźwięków wydawanych przez instrumenty, a wszystkie jakby nie pochodziły od ptaków, bo w niczym nie przypominają śpiewu kosa lub słowika. Zajmiemy się teraz tymi właśnie głosami. O słowiku, kosie, sikorach, o ziębie mówi się bardzo często, podczas gdy o ich dziwnych pobratymcach mało kto wspomina.

Musimy wiedzieć, że nie wszystkie ptaki używają krtani do wydawania głosu.

Od marca słychać w lesie „trrr, trrr", jakby ktoś strzelał z karabinu maszynowego w jakimś filmie. Głos słychać z daleka, trwa długo i czasem udaje się dojść aż do jego źródła. I co widzimy? Przy suchej gałęzi lub cienkiej drzazdze z ułamanego pnia siedzi któryś z dzięciołów pstrych, lub nawet czarny i, tworząc rezonującą całość z wybranym kawałkiem drewna, wali weń dziobem w oszałamiającym tempie. Jest to tzw. bębnienie, czyli głos lęgowy dzięcioła, oznajmiający samicy i innym dzięciołom, dokąd sięga jego rewir.

Że bocian odzywa się „kle, kle, kle", to wie każde dziecko. Ale kto wie, jak i skąd wydobywa się ten głos? Tymczasem zaklekotać tak może każde z was. Wystarczy postarać się o dwie drewniane listewki i szybko uderzać jedną o drugą, bo tak właśnie postępuje bocian. Odchyla głowę do tyłu i... klap, klap, klap — stuka szybko obiema częściami dzioba jedną o drugą.

Teraz powiem o ptakach łączących głos z krtani z instrumentem. Na obrzeżach lasów i wśród polnych zarośli można czasem usłyszeć znienacka huk i łomot — jakby przez sekundę pociąg mknął przez drewniany most. To bażant zawołał „gogh" i zarazem z całą siłą uderzył skrzydłami dając samicy znak, gdzie się znajduje, i oznajmiając jednocześnie innym kogutom, że wtargnięcie na ten teren grozi walką. Ten głos słychać zwykle z daleka i dlatego nie odczuwamy jego siły. Natomiast zdarza się, że bażant warujący jak zając na ziemi, czując niebezpieczeństwo zerwie się nagle spod nóg człowieka. Huk jest wtedy ogromny, a człowiek odruchowo uskakuje w tył, podczas gdy ptak z podwiniętym ogonem wznosi się w powietrze jak rakieta.

Pisklęta bekasa

Bażant

Wieczorem nad rozległymi łąkami słychać z wysoka „bzz, bzz, bzz", jakby wielka mucha wpadła w sieć pająka. To bekas kszyk wydaje przypominający beczenie głos za pomocą... ogona. Ten dźwięk powstaje na skutek wibrowania sterówek w czasie ślizgowego lotu.

Na ziemi zaś, już naturalnie, odzywa się, ale w niezwykły sposób, wydając szybkie dźwięczne „teke, teke, teke", jakby należał do zupełnie innego gatunku. Z moczaru bekas kszyk zrywa się dopiero spod nóg człowieka, wydając głośny okrzyk, i stąd właśnie pochodzi drugi człon jego nazwy.

W zagajnikach i lasach rozlega się ponury głos „ghu, ghu, ghu", jakby wielka sowa oznajmiała, że ma na nas apetyt. Tymczasem jest to łagodny gołąb grzywacz, wprawdzie największy z naszych gołębi, ale zupełnie nieszkodliwy. A ten straszny głos to po prostu jego czułe gruchanie do gołębicy. Dla większego efektu tokujący gołąb zrywa się w górę z drzewa i w locie klaszcze głośno skrzydłami.

W następnym numerze „Płomyczka" napiszemy o ptakach używających tylko krtani do wydawania różnych dziwnych, lecz łatwo rozpoznawalnych dźwięków.

Tekst i fot. Wiktor Pawłowski

▲ *Bocian biały*

Publikujemy dalsze wypowiedzi konkursowe.

Pierwsza pochodzi z Grodźca Śląskiego, niewielkiej wsi w województwie bielsko-bialskim. Jej mieszkaniec, Marcin Kuszczak, przysłał nam opis swej miejscowości. Obok tekstu widzicie kilka zdjęć wykonanych przez Marcina.

Jego „najciekawszym" jest postać patrona szkoły.

Oto, co Marcin pisze:

„Moja szkoła ma patrona. Wiele dzieci powie, że to przecież nic ciekawego. Ale mojej szkole nadano imię Wacława Grodeckiego. Na pewno niewielu z Was wie, kim był mój bohater.

*Wacław Grodecki był twórcą mapy Polski. * Wydał ją ok. 1561 roku w Bazylei. Mapę tę wraz ze spisem 724 nazw geograficznych ofiarował królowi Zygmuntowi Augustowi.*

Wacław Grodecki urodził się w Grodźcu Śląskim, we wsi, w której mieszkam!

Do dziś na wielkim wzgórzu znajduje się zamek, w którym żył wraz z rodzicami. Wygląda on dziś nieco inaczej niż za czasów kartografa, zachowały się stare piwnice i ciemne lochy. Tuż obok widać ruiny dawnego kościoła. Dookoła rosną dęby, mają chyba z 1000 lat..."

„Najciekawszym" Pawła Podgórskiego ze Szczecina jest piłka nożna.

„Jestem bramkarzem w drużynie „STAL — Stocznia Szczecin" — pisze Paweł. *„Dwa razy w tygodniu chodzę na treningi. Wśród kolegów z drużyny mam kilku przyjaciół. Wspólnie trenujemy, wykonujemy czasem bardzo trudne ćwiczenia, jesteśmy zmęczeni, ale zadowoleni. Postanowiliśmy utworzyć własną ligę piłkarską. Tak jak prawdziwa, składa się z rundy wiosennej i jesiennej. Raz w tygodniu rozgrywamy mecze z drużynami innych szczecińskich klubów, np. z ARKONIĄ, HUTNIKIEM.*

Często wygrywamy, ale nie zawsze. Wyjeżdżamy także na mecze do Polic i Stargardu Szczecińskiego.

Mogę śmiało powiedzieć, że gra w piłkę nożną sprawia mi ogromną satysfakcję, jest moim naj... naj... najciekawszym".

A może i Wy spróbujecie?! Zachęcamy do uprawiania sportu.

Przypominamy, że nasz konkurs trwa nadal. Czekamy na Wasze listy.

Opracowała Elżbieta Libera

---

* Autorem pierwszej mapy Polski był Bernard Wapowski (ok. 1470—1535). Znane są tylko jej fragmenty.

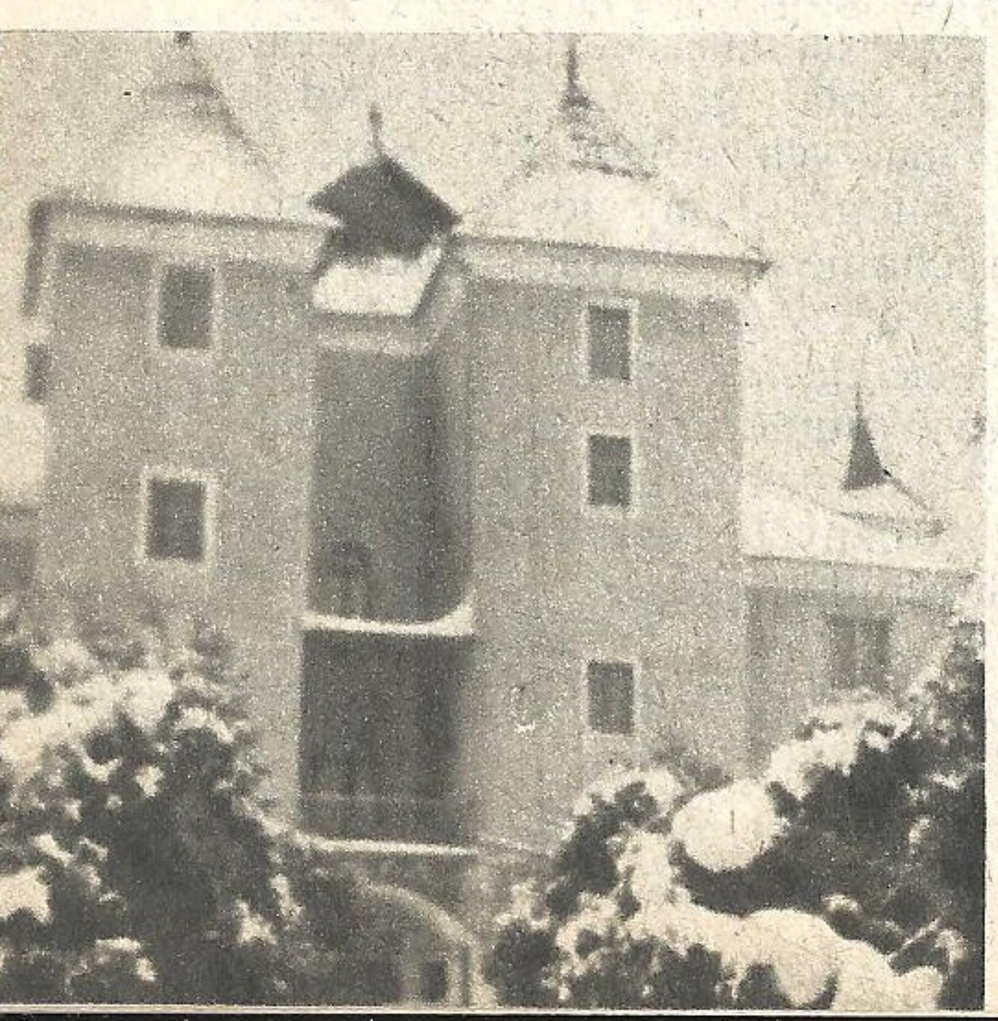

Fot. Marcin Kuszczak

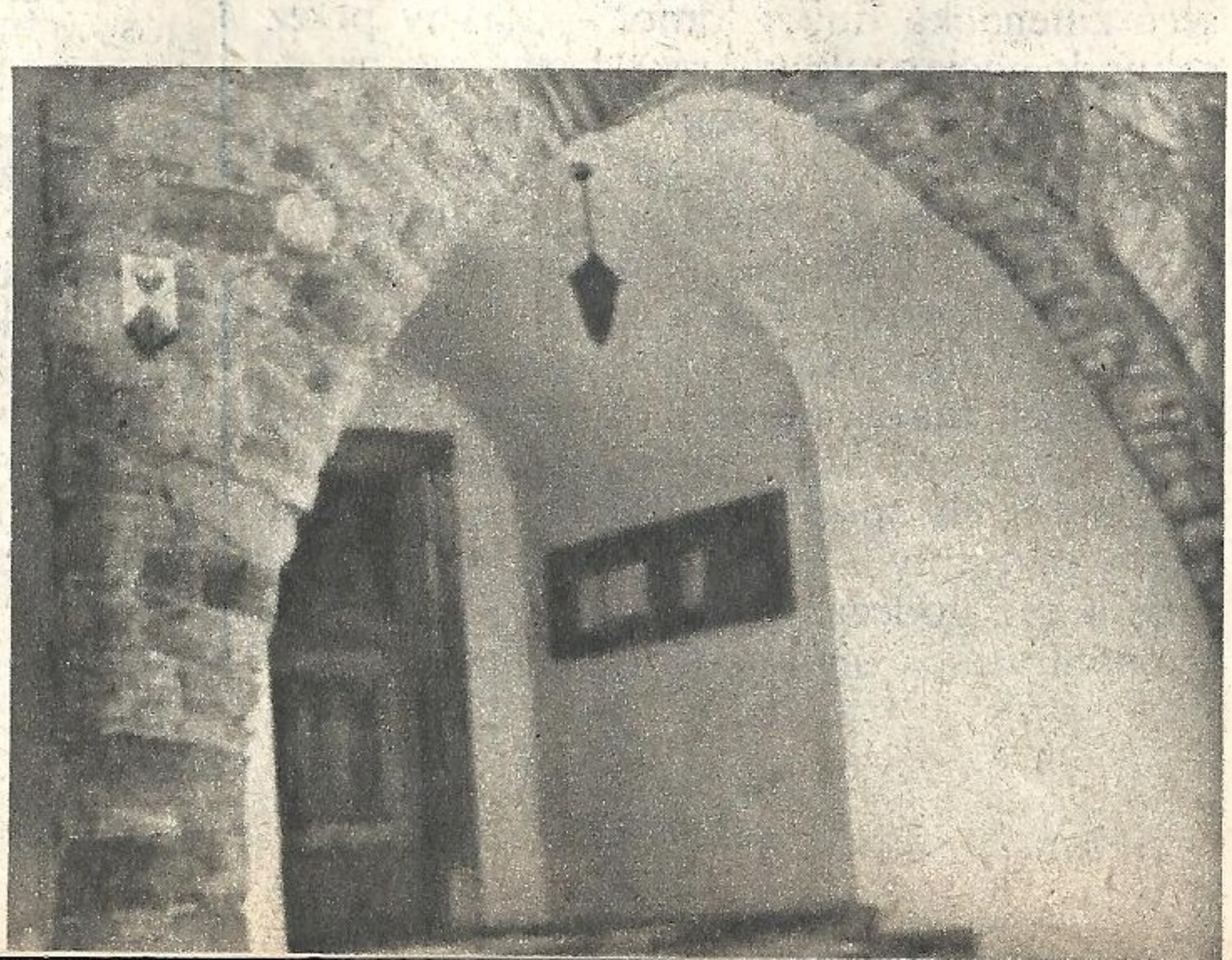

W bieżącym numerze przedstawiamy dalsze nagrodzone wypowiedzi. Wiele z Was opisało nam przygody swych ulubionych bohaterów: Dominiki, Strączka i Arietty, czyli rodziny Pożyczalskich.

Autorką książek o **„Pożyczalskich"** jest angielska pisarka **Mary Norton**. Ukazało się już 5 tomów z tej serii: „Kłopoty rodu Pożyczalskich", „Pożyczalscy idą w świat", „Pożyczalscy na wyspie", „Pożyczalscy w przestworzach", „Pożyczalscy pomszczeni".

Kim są „Pożyczalscy"?

Posłuchajcie, co pisze o nich **Magda Kozak** z Nowego Targu:

„Dominika, Strączek i Arietta to małe, sympatyczne ludziki, które zamieszkują stare i opuszczone domy. Żyją z tego, co uda im się „pożyczyć" od ludzi. Narażeni są na ogromne niebezpieczeństwa „ludzkiego świata". Jednak dzięki inteligencji i sprytowi wychodzą cało z każdej opresji.

Nikomu nie robią krzywdy. „Pożyczają" zwykle w nocy, gdy wszyscy domownicy śpią lub gdy nikogo nie ma w domu. Bardzo boją się złych ludzi.

Żyją skromnie. Tata Strączek znosi do ich mieszkanka, w dziurze pod zegarem, różne niepotrzebne ludziom rzeczy. Czasem są to stare zakrętki od butelek, które służą jako kubki do picia herbaty, czasem szpilki, na których mama Dominika w zimowe wieczory wyrabia grube swetry i rękawice dla córki Arietty i męża.

Ich życie mijałoby cicho i pogodnie, gdyby nie niebezpieczeństwa, które czyhają na każdym kroku".

Druga z prezentowanych wypowiedzi pochodzi z Kosiny w województwie rzeszowskim. Jej autorka, **Ania Pelc**, pisze o powieści **F. H. Burnett** pt. **„Tajemniczy ogród".**

„Książka ta jest fascynującą opowieścią o losach Mary Lennox. Dziewczynka ta przez pewien czas przebywała wraz z rodzicami w Indiach. Jednak ani matka, ani ojciec nie poświęcali jej wiele czasu. Mary była rozkapryszonym i nieznośnym dzieckiem. Kiedy miała 9 lat, wybuchła epidemia cholery, wszyscy jej najbliżsi zmarli, ona cudem ocalała.

Po kilku dniach, dzięki pomocy życzliwych ludzi, wyjechała do brata ojca — pana Cravena, do Anglii.

Dom wuja był niezwykle tajemniczy. Mary przypadkiem dowiedziała się o istnieniu stryjecznego brata oraz o zamkniętym z jakichś nieznanych powodów ogrodzie.

Z nim właśnie wiązało się wiele ciekawych przygód..."

Zachęcamy do lektury opisywanych przez Wasze koleżanki książek (a wydanych przez I.W. „Nasza Księgarnia"). Magdzie i Ani gratulujemy przyznanych nagród, książki jak zwykle prześlemy pocztą.

Opracowała Elżbieta Libera
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

DBAMY O ZDROWIE (11)

Jedzcie powoli

Ważne jest nie tylko to, co jemy, ale również jak to robimy.

Ileż jest takich dzieci, które jedzą bardzo wolno, doprowadzając rodziców do rozpaczy. Z kolei inni ludzie jedzą bardzo szybko. Prawie nie gryzą, tylko połykają całe kęsy. Wiele z tych osób zapada po pewnym czasie na dość poważne choroby przewodu pokarmowego.

Natura wyposażyła nas nie tylko w zęby, ale także w gruczoły ślinowe. Otóż wydzielina tych gruczołów jest bardzo ważna nie tylko dlatego, że ułatwia trawienie, ale również z tego powodu, że zawiera dość dużo śluzu. Śluz ten wymieszany z pokarmami przenoszony jest do żołądka. Ma tu do wykonania bardzo ważne zadanie. Wzmacnia warstwę ochronną, znajdującą się na powierzchni błony śluzowej żołądka i zapobiega jej uszkodzeniu. W ten sposób nie dopuszcza do samostrawienia.

Jeśli człowiek nie rozgryza dokładnie pożywienia, wtedy trawienie trwa o wiele dłużej i towarzyszy mu nieprzyjemne odbijanie lub zgaga. To organizm upomina się o swoje prawa. Podczas jedzenia człowiek powinien być spokojny. Ten, kto je zbyt nerwowo, połyka wraz z pokarmem powietrze, co może spowodować wzdęcia brzucha i odbijanie. Chyba teraz przyznacie mi rację, że ważne jest nie tylko to, co jemy, ale również jak to robimy.

dr Marek Leszek Krześniak

Fot. Stefan Rutkowski

ORIGAMI — co to takiego?

Zapewne niektórzy z Was doskonale wiedzą, że „origami" to sztuka odpowiedniego zginania papieru. Takiego zginania, by bez pomocy nożyczek otrzymać kształty różnych zwierząt lub przedmiotów.

Sztuka ta wywodzi się z Japonii, gdzie od setek lat przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Jeszcze dziś można spotkać rodziny, które podtrzymują tę tradycję. Matki zasiadają z dziećmi przy stole, a ich zręczne palce układają figury z papieru według wzorów zapamiętanych z dzieciństwa.

Najpopularniejszą z takich figur jest z pewnością żuraw, tamtejszy symbol szczęścia. W japońskich domach i szpitalach wiszą na ścianach sznury kolorowych żurawi, które podobno mają moc przywracania zdrowia.

Co jeszcze można zrobić z papieru? Piękne kwiaty i rośliny, motyle, koguty, łabędzie, gwiazdy, czapki samurajów i wiele innych rzeczy.

Dziś w każdym sklepie z papierem w Japonii kupić można kolorowe arkusiki papieru o wymiarach 15 × 15 cm, a naukę „origami" wprowadzono do przedszkoli i do szkół.

W Europie i w Stanach Zjednoczonych „origami" znane jest od około 30 lat. U nas, w Polsce, sztuka ta jest mało znana, ale pisały już o niej niektóre czasopisma dla dorosłych i dla młodzieży (np. „Świat Młodych"). Nawet telewizja poświęciła tej sprawie specjalny program.

Popatrzcie na fotografie i powiedzcie, czy podobają się Wam takie papierowe zabawki. A może sami spróbujecie coś złożyć? Dla zachęty podajemy Wam metodę składania żaglówki i żurawia.

Maria Czernik

ŻAGLÓWKA

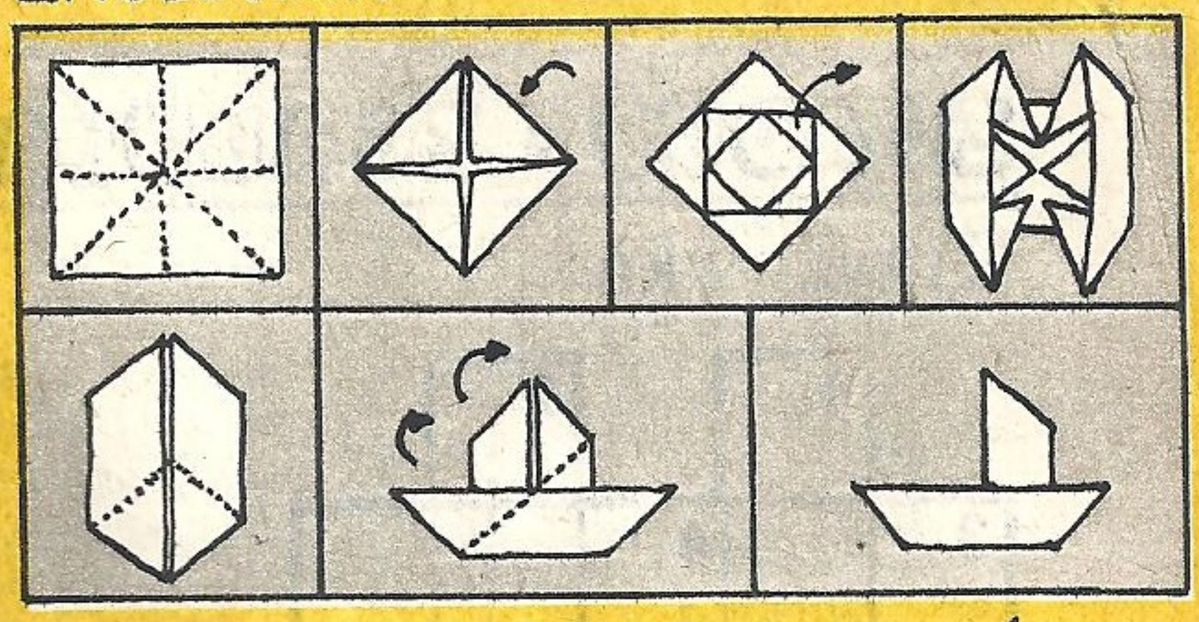

ŻURAW

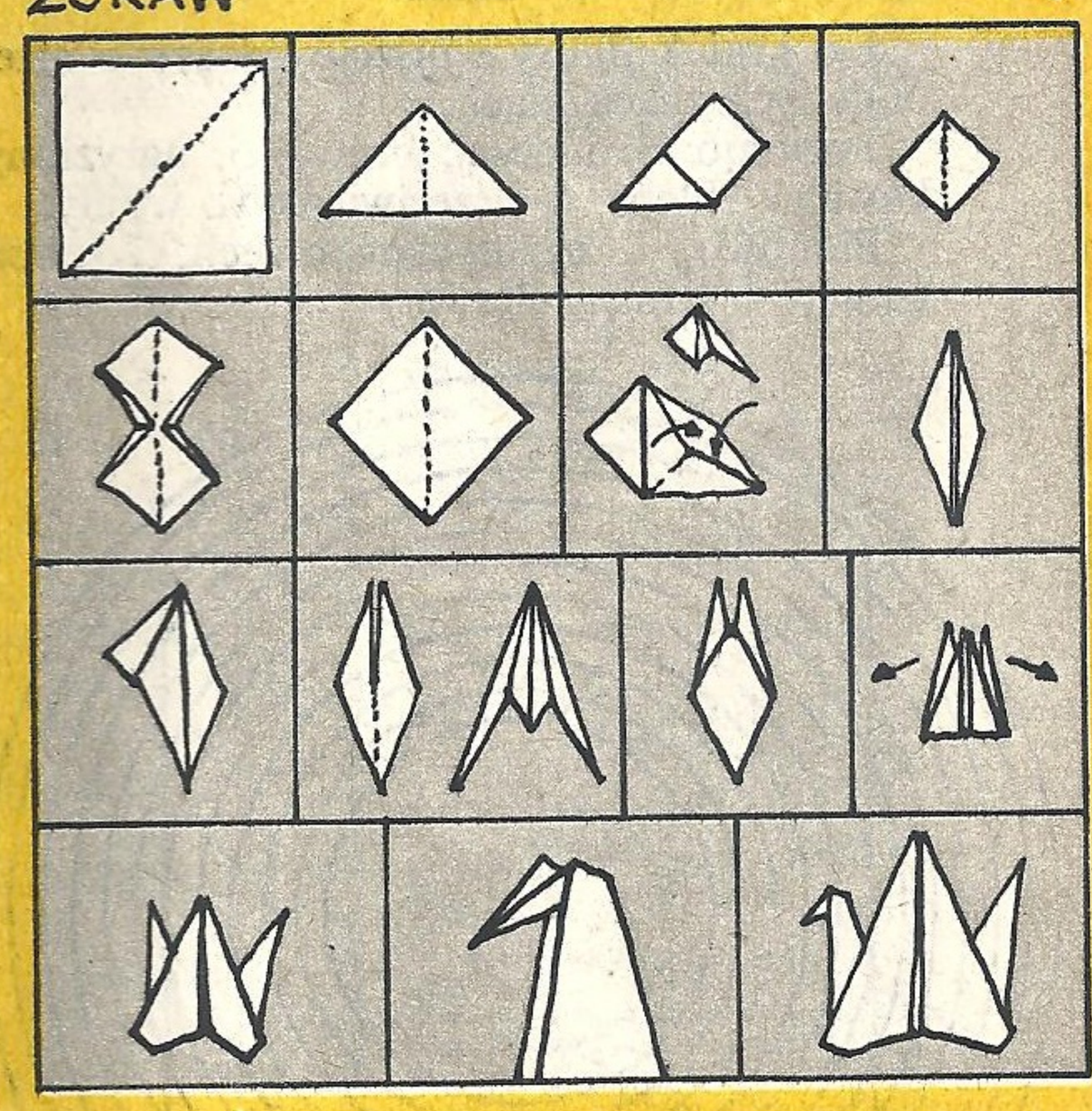

Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

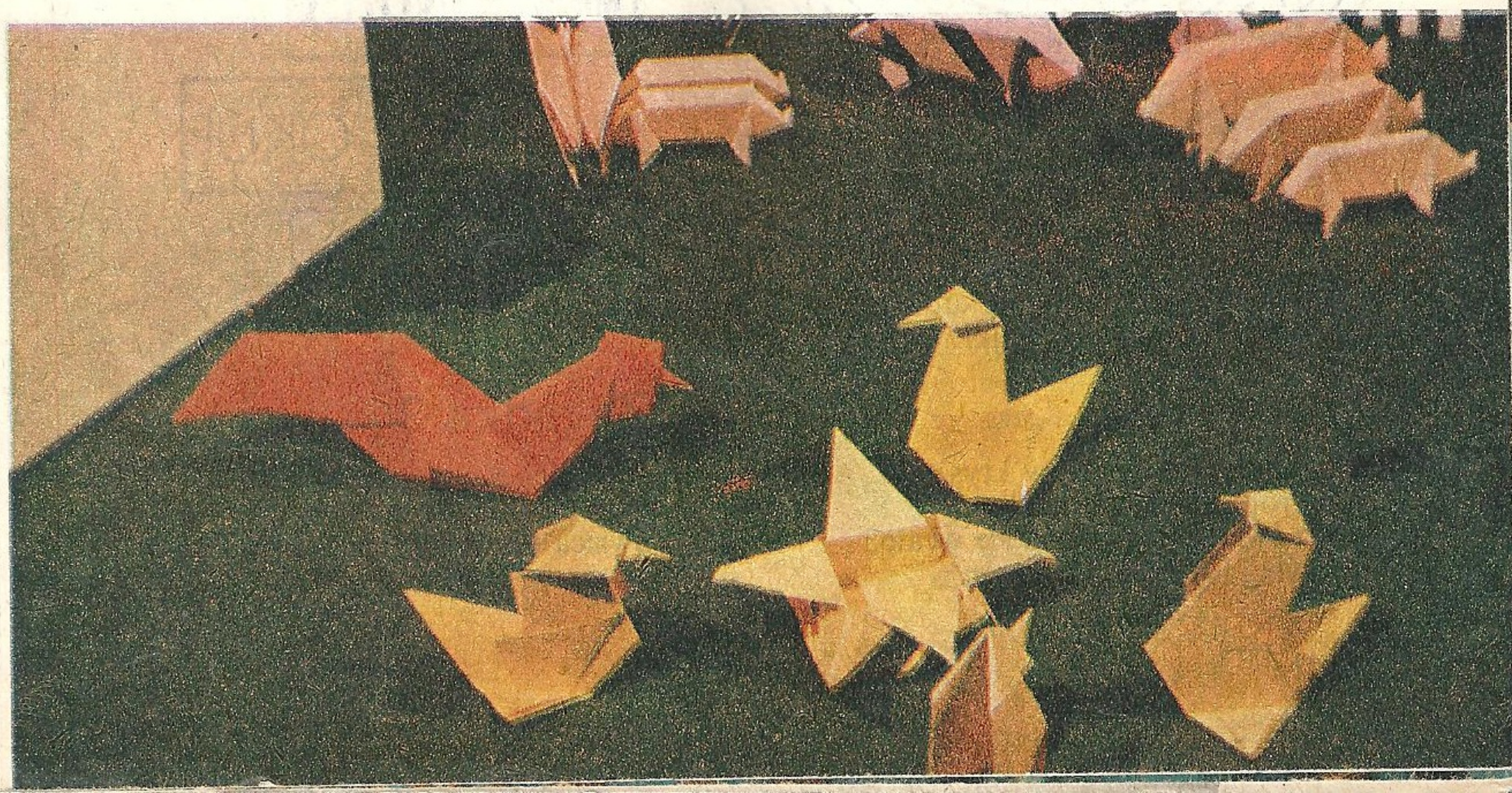

Krzyżówka

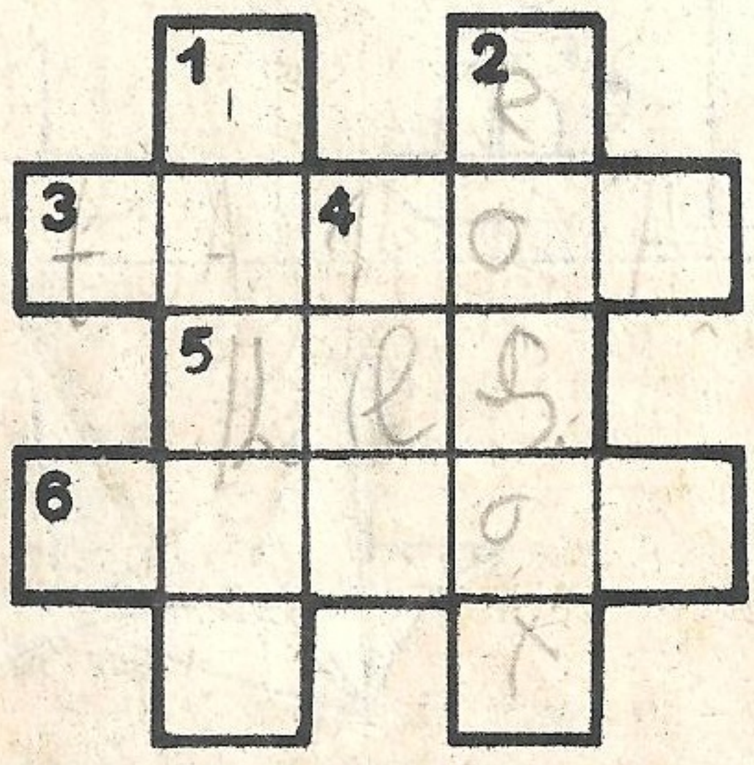

Do kratek figury wpiszcie wyrazy o niżej podanych znaczeniach.

Poziomo: 3. inaczej: barwa, 5. ugryziony kawałek chleba, 6. przeciwieństwo wojny.

Pionowo: 1. egzotyczny orzech, 2. zupa z kury, 4. strach, obawa.

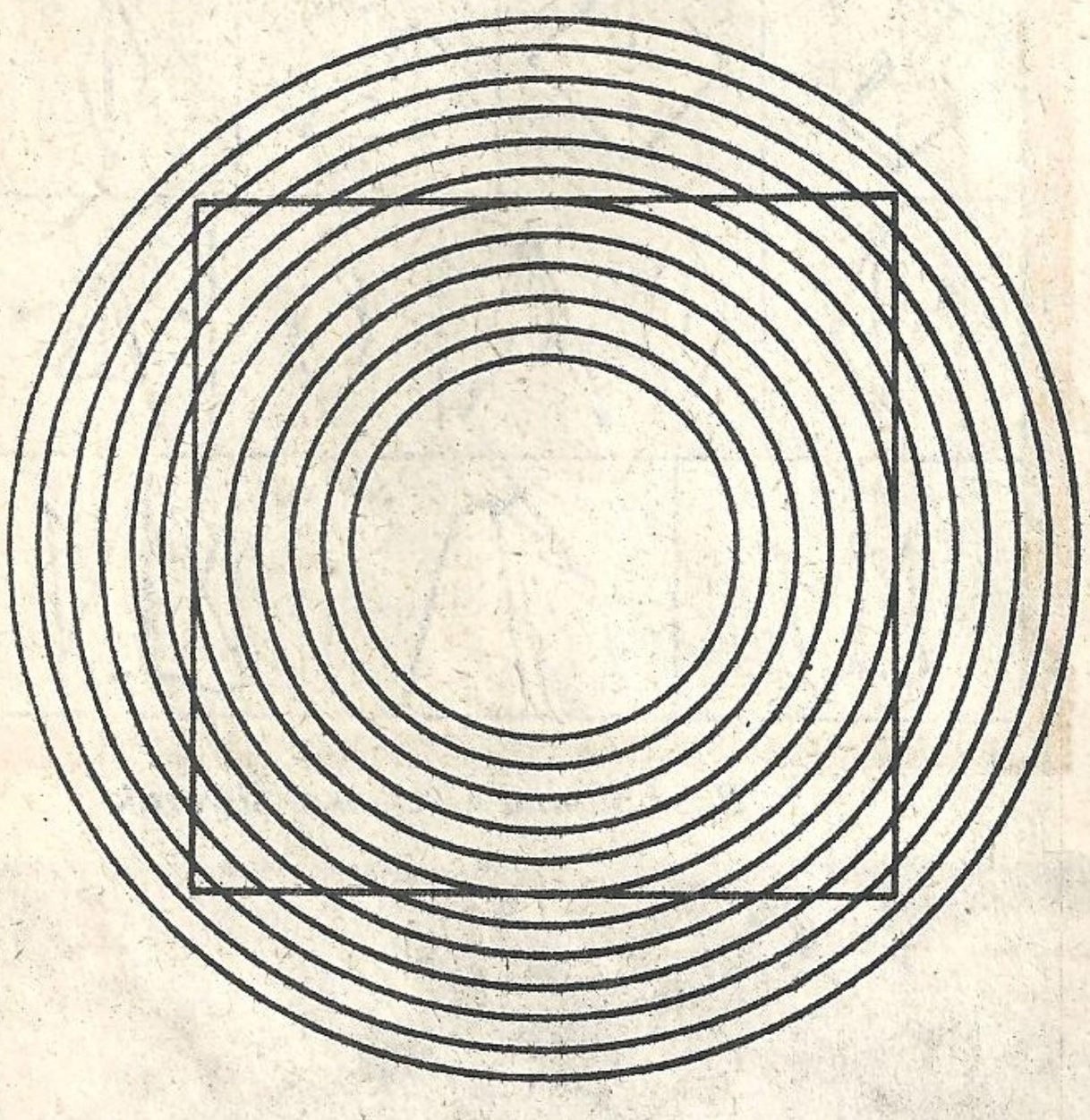

Popatrz i odpowiedz: jak Ci się wydaje — czy boki tego kwadratu są proste, czy wklęsłe. Najpierw przypatrz się dobrze, a potem sprawdź za pomocą linijki.

Zagadka 1

Światło wzbudza ją w krysztale,
w kropli rosy, na tle chmur.
Bez światła nie zjawia się wcale.
Pawie pióro dla niej wzór.

Anagram

Odgadnijcie znaczenie rysunku. W otrzymanej nazwie należy tak poprzestawiać litery, aby powstało co najmniej 10 nowych wyrazów.

Jakie to ptaki?

W każdej parze wyrazów kryje się nazwa ptaka. Trzeba tak poprzestawiać litery, aby te nazwy odczytać.

MROK NORA

TRAWA OKUP

ZĄB KRAJE

Zagadka 2

Pełno ich we wszechświecie.
Na ziemi ich nie znajdziecie.
Świecą mniej lub bardziej jasno,
bywa, że i one gasną.

W.S.

NASZ ZWIERZYNIEC

KARETTA

Przed 70 milionami lat wymarła ogromna większość gadów, a te, które do dziś dotrwały, obejmują około 6 tysięcy gatunków, z czego 5 i pół tysiąca to jaszczurki i węże. Żółwi jest znacznie mniej. Stanowią dla nas pewną tajemnicę. Nie bardzo wiemy, od jakich pradawnych przodków pochodzą, dlaczego przez długi okres 200 milionów lat nie zmieniły się ani na jotę, dlaczego nie były nigdy i nie są podobne do innych zwierząt. Najbardziej charakterystyczną cechą ich budowy jest pancerz — jedyne ich schronienie i obrona przed drapieżnikami łakomiącymi się na ich smaczne mięso. Pancerz ten składa się z leżącego na grzbiecie puklerza i usytuowanej pod spodem zwierzęcia tarczy. Obie te części jednoczy łącznik, zwany mostem.

Dzisiejsze żółwie dzielimy na skrytoszyjne i bokoszyjne. Te dziwaczne nazwy oznaczają to, że pierwsze, gdy chowają głowę pod pancerz, wyginają szyję esowato w płaszczyźnie pionowej, a drugie w poziomej.

Żółwie dobrze widzą, rozróżniają kolory, widzą też w podczerwieni, zapewne jakieś dziwy niewidoczne dla nas. Potrafią odróżnić kulę od stożka, koło od kwadratu, ale gdy idzie o słuch, są zupełnie kalekie, bo wręcz głuche.

Zwierzęta te składają jaja w miękki grunt w pobliżu zbiorników wodnych. Wylęgają się z nich młode, które natychmiast pełzną w kierunku wody. I w tym czasie dużo ich ginie, bowiem polują na nie drapieżne ptaki.

Najmniejszy jest żółw pajączkowy — ma 10 cm długości, a największy jeden z morskich, dochodzący rozmiarami do 2 m i osiągający 800 kg masy ciała. Takie ogromne żółwie żyją pod ochroną na Wyspach Żółwich, zwanych też Wyspami Galapagos, a żyją do 150 lat i więcej. Są odporne na głód, suszę, a nawet ciężkie urazy. Przebywają na lądzie, w wodach słodkich i morskich, gdzie klimat jest ciepły lub umiarkowany.

Karetta to skrytoszyjny żółw morski. Ma 1 metr długości. Żywi się skorupiakami, mięczakami, jeżowcami, nie gardzi też roślinami. Należy do rodziny, na przedstawicieli której polowano od dawna. I tak — żółw zielony ginął z powodu smacznego mięsa, a żółw szylkretowy, bo miał piękny pancerz, z którego wyrabiano grzebienie, klamry itp. Karetta ocalał, bo jego mięso jest niesmaczne, a pancerz nie nadaje się do wyrobu pięknych przedmiotów.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Joanna Kusek

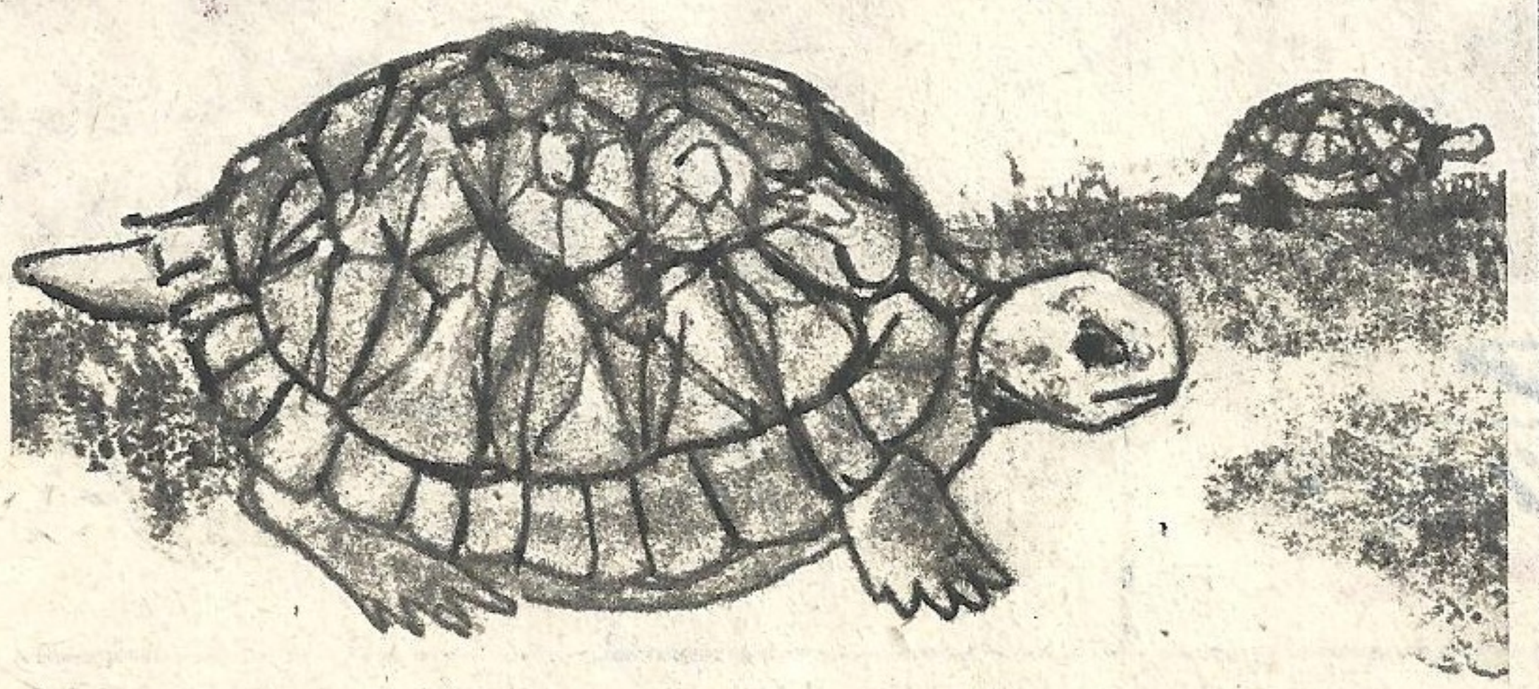

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 270 zł,
półrocznie — 540 zł,
rocznie — 1080 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Aleksandra Danecka-Witkowska, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego), Teresa Wilk-Białożej

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicą pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, i rotogr. 125 g, 86×122 cm kl. V.

Zam. 4775/88 M-10
Nakład 380 370 egz.
ISSN 0137-8511

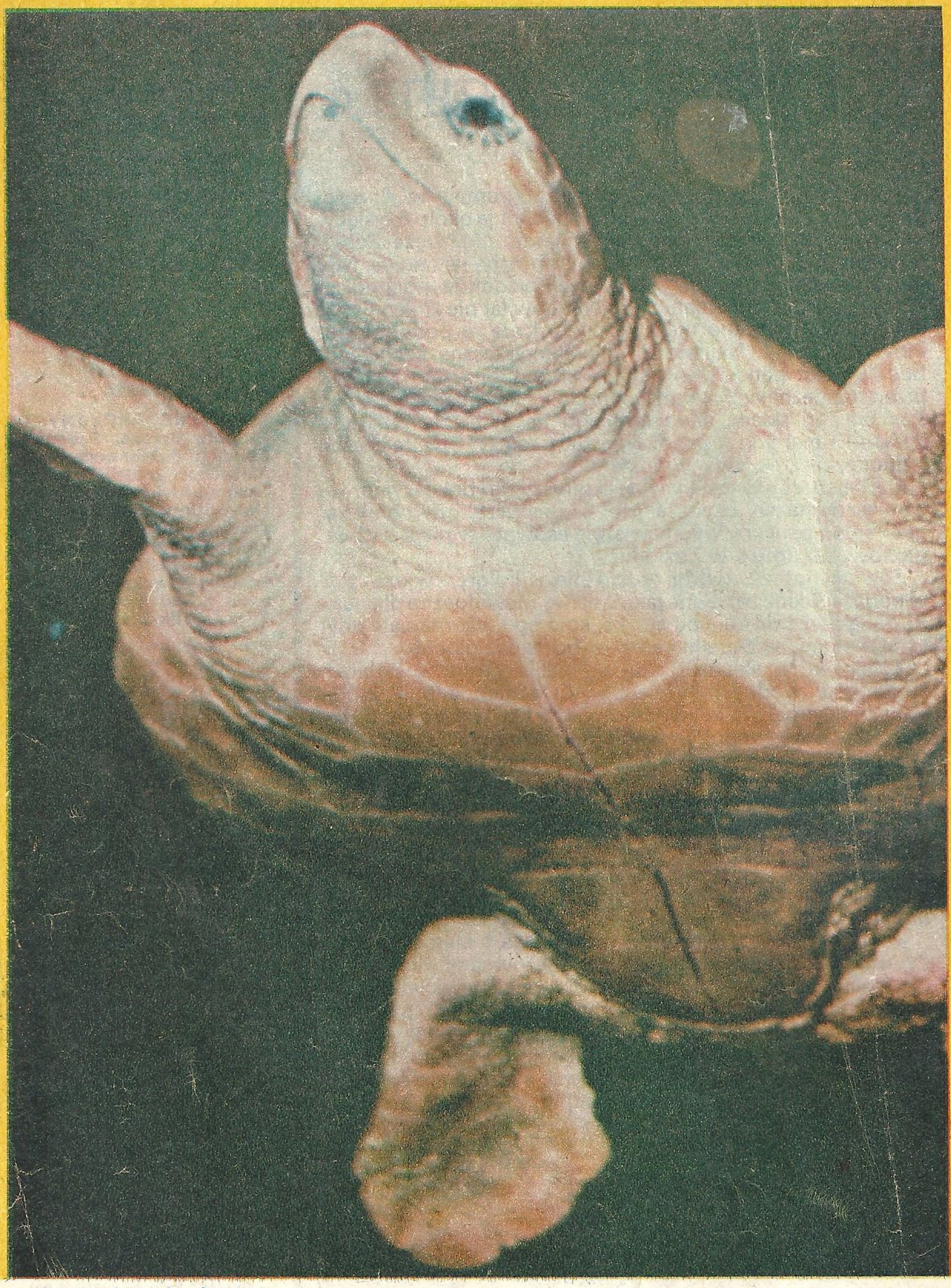

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

KARETTA

Fot. Michał Wlaziński

CENA 45 ZŁ